

A 2897 II

# sigma



1

—51—  
1973/74

MAGAZYN PROBLEMOWO-INFORMACYJNY  
POLITECHNIKI WROCŁAWSKIEJ



# ANGLIA

POLSKA POLSKA

POLSKA POLSKA

POLSKA POLSKA

POLSKA POLSKA

POLSKA POLSKA

POLSKA POLSKA

POLSKA POLSKA

POLSKA POLSKA

POLSKA POLSKA

POLSKA POLSKA

POLSKA POLSKA

POLSKA POLSKA

POLSKA POLSKA

POLSKA POLSKA

POLSKA POLSKA

POLSKA POLSKA

POLSKA POLSKA

POLSKA POLSKA

POLSKA POLSKA

POLSKA POLSKA

POLSKA POLSKA

POLSKA POLSKA

POLSKA POLSKA

POLSKA POLSKA

POLSKA POLSKA

POLSKA POLSKA

POLSKA POLSKA

POLSKA POLSKA

POLSKA POLSKA

POLSKA POLSKA

POLSKA POLSKA

POLSKA POLSKA

POLSKA POLSKA

ANGLIA ANGLIA

ANGLIA ANGLIA

ANGLIA ANGLIA

ANGLIA ANGLIA

ANGLIA ANGLIA

ANGLIA ANGLIA

ANGLIA ANGLIA

ANGLIA ANGLIA

ANGLIA ANGLIA

ANGLIA ANGLIA

ANGLIA ANGLIA

ANGLIA ANGLIA

ANGLIA ANGLIA

ANGLIA ANGLIA

ANGLIA ANGLIA

ANGLIA ANGLIA

ANGLIA ANGLIA

ANGLIA ANGLIA

ANGLIA ANGLIA

ANGLIA ANGLIA

ANGLIA ANGLIA

ANGLIA ANGLIA

ANGLIA ANGLIA

ANGLIA ANGLIA

ANGLIA ANGLIA

ANGLIA ANGLIA

ANGLIA ANGLIA

ANGLIA ANGLIA

ANGLIA ANGLIA

ANGLIA ANGLIA

ANGLIA ANGLIA

ANGLIA ANGLIA

ANGLIA ANGLIA

ANGLIA ANGLIA

# POLSKA



# KOLEJNY ETAP ROZWOJU

Poniżej publikujemy przemówienie J.M. Rektora, wygłoszone podczas uroczystości inauguracyjnych w roku akademickim 1973/74 w Politechnice Wrocławskiej.

„Rozpoczynamy dzisiaj 28 rok akademicki w dziejach polskiej Politechniki we Wrocławiu. Ten miniony okres 27 lat to lata akademickie pełne wyteżonej pracy. Zawsze bowiem społeczność naszej uczelni z pełnym zrozumieniem podejmowała najtrudniejsze, stawiane jej zadania. Wymownym przykładem naszej działalności niechaj będzie fakt, iż w najbliższym roku akademickim opuści szkołę 25-tysięczny absolwent wypromowany w murach Politechniki Wrocławskiej. Ostatnie i najbliższe lata w dziejach naszej uczelni, w dziejach powojennego rozwoju szkolnictwa wyższego w Polsce miały i będą miały bardzo istotne znaczenie. Jest to bowiem okres konstruowania nowej koncepcji modelu szkoły wyższej tak pracującej, aby mogła ona sprostać zadaniom, które postawi się placówkom badawczo-dydaktycznym na przełomie wieku 20 i 21-go w naszym kraju.

W minionym roku i w roku obecnym miały miejsce w Polsce fakty, które nie sposób nie docenić w planowaniu strategii rozwoju szkół wyższych w kraju i w naszym mieście. Do tych ważnych wydarzeń z tego punktu widzenia, zaliczyć należy przede wszystkim obrady II Kongresu Nauki Polskiej. Głównym jego zadaniem było, które jak myślę z powodzeniem wypełnił, dokonanie oceny stanu nauki polskiej oraz nakreślenie kluczowych kierunków dalszego rozwoju badań naukowych. Z ustaleń tego kongresu wypadnie naszej uczelni wyciągnąć praktyczne wnioski i sprecyzować te zadania naukowe, na których skoncentrujemy uwagę pracowników naukowo-dydaktycznych, naukowo-badawczych oraz studentów w okresie najbliższych 10 lat.

Innym wydarzeniem, o którym należy wspomnieć, były dwa plenarne posiedzenia KW PZPR we Wrocławiu, które zajęły się problematyką wrocławskiego środowiska naukowego. Pierwsze z nich określiło perspektywy rozwojowe wyższych uczelni we Wrocławiu do 1980 roku, drugie — dało odpowiedź na pytanie, jakie będzie zapotrzebowanie na kadre z wyższym wykształceniem technicznym naszego regionu do 1985 roku. Bazując na tych ustaleniach będziemy w stanie znacznie bardziej precyzyjnie niż do tej pory określić między innymi rozwój poszczególnych kierunków kształcenia tak, aby w znacznie jeszcze większym stopniu zaspakajać potrzeby kadrowe naszego województwa i województw sąsiednich.

Pragnę również wspomnieć o podjętej przez Biuro Polityczne KC PZPR oraz Radę Ministrów PRL uchwale w sprawie podstawowych kierunków rozwoju województwa wrocławskiego i miasta Wrocławia w okresie do 1980 roku. Jednym z kluczowych sformułowań zawartych w tej uchwale jest stwierdzenie: do podstawowych funkcji regionu wrocławskiego należy między innymi kształtowanie poprzez dalszy rozwój szkolnictwa wyższego oraz jednostek naukowo-badawczych w mieście

Wrocławiu, prężnego ośrodka nauki o znaczeniu ponadregionalnym, przygotowującego wykwalifikowaną kadre dla gospodarki narodowej i uczestniczącego aktywnie w pracach badawczo-rozwojowych.

Uchwała ta obok nowych zadań dla wrocławskiego ośrodka naukowego ustala również niezbędną wysokość nakładów na rozbudowę niezbędnej bazy materialnej. Między innymi Politechnice Wrocławskiej przyznaje się środki w wysokości przeszło 600 mln zł na dalszą rozbudowę w latach 1975—1980, które pozwolą na realizację tych nowych ambitnych zadań dydaktycznych i naukowych.

Tak więc w środowisku naukowym Wrocławia dysponujemy znaczną liczbą ustaleń, które pozwolą w sposób harmonijny planować i realizować przyszły rozwój Politechniki Wrocławskiej.

Ubiegły rok akademicki był rokiem niemałych sukcesów naszej uczelni. Odnotować możemy z dużą satysfakcją osiągnięcie liczącego się postępu w realizacji wielkich programów badawczych, w szczególności cieszy widoczny postęp w pracach nad wieloabonenckim systemem cyfrowym. Informatyka więc wkracza na serio do wszystkich dziedzin naszego życia. Stwierdzamy również daleko zaawansowane prace w realizacji programu naukowego hydrometalurgia, ochrona środowiska, górnictwo odkrywkowe i górnictwo rud.

Pracownicy Politechniki Wrocławskiej w minionym okresie roku akademickiego zgłosili przeszło 100 patentów zawierających nowe cenne rozwiązania technologiczne i konstrukcyjne.

Zewnętrznym wyrazem działalności naukowej było zorganizowanie 55 konferencji naukowych, na podkreślenie zasługuje ich wysoki poziom oraz szeroki udział przedstawicieli innych ośrodków badawczych, w tym również pracowników naukowych z zagranicy. Ubiegły rok zapoczątkował również nowy etap w naukowej działalności wydawniczej. Wydaliśmy, lub przygotowujemy do wydania 5 nowych tytułów czasopism naukowych o zasięgu

ogólnokrajowym, które zawierają publikacje podane w językach kongresowych. Zyskaliśmy tym samym lepsze narzędzie służące wymianie myśli naukowej, zarówno w kraju jak i w skali międzynarodowej. Podkreślić należy tutaj, iż jesteśmy na razie jedyną uczelnią techniczną, która podjęła i zrealizowała tego typu inicjatywę.

Naszą działalność naukową można mierzyć również ilością i jakością publikacji. Wydaliśmy ich dwukrotnie więcej niż w roku ubiegłym a ich objętość wynosi 1400 arkuszy wydawniczych. Intensywniejsze również są obecnie nasze kontakty z zagranicznymi ośrodkami naukowymi. Wyjechało na krótko lub długoterminowe staże z uczelni przeszło 200 osób. Gościliśmy u siebie około 150 pracowników naukowych z krajów socjalistycznych i zachodnich.

Obecny nowy rok akademicki rozpoczynamy z liczbą 10 740 studentów z czego 3/4 podejmuje studia w trybie dziennym. Politechnika Wrocławska w 1973 roku wypromuje 2180 absolwentów co stanowi o 330 więcej niż w roku ubiegłym. Podkreślić należy również i fakt, że 92% studentów ostatniego semestru studiów uzyskało dyplomy magisterskie i inżynierskie do 15 lipca br. czyli o przeszło 3 miesiące wcześniej od przewidywanego regulaminem studiów terminu. Zwiększyła się też znacznie liczba słuchaczy na studiach doktoranckich, obecnie studiuje ich 690, w tym 210 nowo skierowanych.

Pracownicy Politechniki Wrocławskiej dysponują również z roku na rok zwiększającymi się nakładami na realizację badań naukowych. Przewidujemy iż w roku 1973 wartość wykonanych na rzecz przemysłu i innych placówek prac badawczych wynosić będzie 350 mln zł, to jest o 20% więcej niż w roku 1972. Na aparaturę naukową wydanych zostanie w roku 1973 100 mln zł. W dniu dzisiejszym uczelnia nasza zatrudnia przeszło 5600 pracowników, a przyrost zatrudnienia tylko w jednym roku wyniósł 800 osób. Nastąpiło to głównie w grupie pracow-



ników naukowo-dydaktycznych i naukowo-badawczych. Pomyślnie realizujemy również nasze plany inwestycyjne. Jeszcze w roku 1973 przejmujemy do eksploatacji budynek Instytutu Inżynierii Chemicznej i Urzędów Ciepłych, dom mieszkalny dla pracowników o 110 mieszkaniach oraz pierwszy zespół nowych obiektów sportowych. W 1973 roku rozpoczęliśmy również budowę drugiego domu w nowym osiedlu mieszkaniowym studentów naszej uczelni, Instytutu Telekomunikacji i Akustyki oraz Instytutu Układów Elektromaszynowych.

Intensywny program inwestycyjny kontynuowany będzie również i w latach następnych. Podane liczby są wymownym świadectwem, iż proces intensywnego rozwoju naszej uczelni jest i będzie z powodzeniem kontynuowany.

Przechodzę obecnie do omówienia najpilniejszych zadań w nadchodzącym roku akademickim. Pragnę przy ich kreśleniu nawiązać do tych wszystkich dokumentów, o których była mowa na wstępie. Określają one nam zadanie zbudowania wieloletniego planu rozwoju naszej uczelni we wszystkich podstawowych dziedzinach jej działania. I tak podejmiemy działalność zmierzającą do uściślenia głównych kierunków badań naukowych Politechniki Wrocławskiej i jej specjalizacji naukowej w Polsce. Wykorzystamy tutaj wszystkie dostępne opracowania prognostyczne dotyczące rozwoju nauki i techniki w tym również i te, które opracowaliśmy w naszej szkole oraz ustalenia drugiego kongresu nauki polskiej.

Innym pilnym zadaniem będzie zakończenie w bieżącym roku akademickim prac nad nowym modelem kształcenia. Pragniemy bowiem stosunkowo szybko podjąć nowe zadania w tej dziedzinie wynikające z raportu o stanie oświaty. Pierwszy rok studiów w którym wdrożony będzie nowy model kształcenia to rok akademicki 1974/75. Model ten zakłada podział studiów naszej uczelni na 3 fazy: pierwsza to gruntowne studium z zakresu nauk podstawowych, druga — to studium specjalnościowe i trzecia — to zorganizowana w sposób przemyślny praktyka przemysłowa w wybranych produjących zakładach przemysłowych tuż po uzyskaniu absolutorium przez naszych absolwentów. W modelu tym znacznie więcej czasu poświęcać się będzie wykształceniu teoretycznemu studentów, głównie w oparciu o nauki podstawowe, do których w pierwszym rzędzie zaliczamy matematykę, fizykę i chemię. Organizując proces dydaktyczny na nowych zasadach, musimy zapewnić w znacznie większym stopniu możliwość samodzielnego studiowania naszym słuchaczom.

Przewidujemy również potrzebę przejścia na bardziej zindywidualizowane formy pracy ze studentami zależnie od ich upodobań naukowych i zdolności. Nowy model musi również zapewnić wprowadzenie nowoczesnych technik do procesu nauczania, w tym przede wszystkim środków informatycznych. Należy sobie uświadomić, iż nowy model dydaktyczny pociągnie w uczelni naszej wiele istotnych zmian i następstw. Kluczową stanie się sprawa przygotowania nowej kadry naukowo-dydaktycznej oraz zapewnienie rozwoju naukowych i dydaktycznych kadry już zatrudnionej. Uruchomione zostaną wielokierunkowe formy dokształcania pracowników naukowo-dydaktycznych i naukowo-badawczych w dziedzinie

pedagogiki, intensywnego nauczania języków obcych, zapoznaczania się z nowoczesną teorią organizacji badań naukowych oraz letnie i zimowe szkoły naukowe. Nowy system kształcenia wymagać będzie zasadniczego przeobrażenia laboratoriów naukowych i dydaktycznych tak, abyśmy mogli zagwarantować studentom korzystanie z najnowszej aparatury naukowej i innych nowoczesnych środków technicznych.

W nadchodzących latach znacznie więcej uwagi poświęcać będziemy jakości realizowanego procesu dydaktycznego. Ranga pracy dydaktycznej będzie znacznie zwiększona.

Precyzując poprzez prace podjęte nad nowelizacją kierunków badań naukowych oraz kształtując nowy model kształcenia, uzyskamy w ten sposób wszystkie niezbędne elementy do opracowania planu poczynając z mierzących do przekształcenia Politechniki Wrocławskiej w nowoczesną placówkę dydaktyczną i badawczą. W trakcie opracowywania tego planu liczymy na aktywną pomoc w jego precyzowaniu ze strony młodzieży studiującej i wszystkich pracowników zatrudnionych w szkole. Chodzić będzie o to, aby plan ten harmonijnie wiązał ambicje i dążenia poszczególnych pracowników i studentów ze społecznymi funkcjami uczelni wyższej w naszym kraju.

W dziedzinie badań naukowych podejmiemy działania zmierzające do uzupełnienia listy aktualnie realizowanych przez nas 6 wielkich problemów badawczych. Zdobyte w ostatnich latach doświadczenia w podejmowaniu tego rodzaju programów są świadectwem iż można tą drogą osiągnąć dwa podstawowe cele: po pierwsze należyta koncentracja badań w dziedzinach ważnych dla rozwoju gospodarki narodowej, po drugie — realizację idei kształtowania określonej specjalizacji naukowej Politechniki Wrocławskiej przez skupienie na określonych zadaniach licznej i o wysokich kwalifikacjach naukowych kadry badawczej. Wydaje się, iż lista ta mogłaby być uzupełniona między innymi o program badawczy z dziedziny budownictwa oraz o program kompleksowego wykorzystania surowców, których całe bogactwo znajduje się na Dolnym Śląsku. Stymulując dalszy rozwój działalności naukowej zwracać się będzie również uwagę na konieczność prowadzenia znacznie szerszym nurtem badań podstawowych. Plany z zakresu badań naukowych będziemy starali się lepiej zharmonizować z działaniem na rzecz szerokiej współpracy z zagranicznymi placówkami naukowymi. Dzisiaj w naszej uczelni jest już możliwe sięgnięcie do wyższej formy tej współpracy poprzez podejmowanie wspólnych badań naukowych w skali międzynarodowej.

W nadchodzącym roku akademickim zaistnieją również lepsze przesłanki dla dokonania dalszych ulepszeń w procesie wychowawczym. Pod koniec ubiegłego roku akademickiego w szkołach wyższych powstała bowiem jedna młodzieżowa organizacja społeczno-polityczna to jest Socjalistyczny Związek Studentów Polskich. Umożliwi to lepszą realizację zadań w dziedzinie procesów samowychowawczych młodzieży, stworzy też lepsze możliwości wciągnięcia młodzieży do wszystkich prac w uczelni. Konsultując w szerszym stopniu z młodzieżą studiującą wszelkie nowe reformy przygotowywane do wdrożenia w Politechnice Wrocławskiej

będziemy jej również stawiali większe wymagania w zakresie rzetelnego wypełniania jej obowiązków studenckich. Liczymy również, że młodzież studiująca w sposób konkretny zademonstruje swoje przywiązanie do Politechniki Wrocławskiej organizując na szeroką skalę prace społeczne na rzecz Politechniki oraz regionu. Możliwym jest również powierzenie młodzieży samodzielnych zadań w dziedzinie dalszej rozbudowy bazy socjalno-wypoczynkowej, organizacji masowego ruchu kulturalnego, turystycznego — jednym słowem organizacji czasu wolnego.

Podejmując wiele prac nad nowymi ambitnymi zadaniami w naszej szkole kolektywy kierownicze wszystkich szczebli pamiętać muszą, iż gwarancją ich dobrego wykonania są ludzie. Lepsza praca z kadrami i młodzieżą studiującą to jedno z najpilniejszych naszych zadań. Nacisk między innymi będziemy kładli na kształtowanie wzorców postępowania poprzez wskazywanie na tych, którzy szczególnie aktywnie i z oddaniem realizują swoje obowiązki obywatelskie.

Do nadal aktualnych zadań należy również dalsze doskonalenie systemu organizacyjnego. W tak złożonym organizmie jakim jest szkoła wyższa właściwe efekty zarówno w działalności naukowej, dydaktycznej i wychowawczej można osiągnąć wyłącznie przy sprawnym, terminowym i dokładnym rozwiązywaniu wszystkich bieżących problemów. Tylko sprawnie działająca uczelnia z licznymi mechanizmami wewnętrznymi ma szanse elastycznie dostosowywać się do bieżących zadań, jakie nam w udziale przypadają w naszym socjalistycznym państwie.

Dobra organizacja pracy uczelni wyższej ma również kapitalne znaczenie wychowawcze.

Omówione przeze mnie w skrócie zadania Politechniki Wrocławskiej w nadchodzącym roku akademickim znajdują swoje rozwinięcie w trzyletnim planie działalności Politechniki Wrocławskiej oraz w planach pracy instytutów i innych komórek organizacyjnych. Uświadomienie tych zadań w pierwszej kolejności wszystkim kolektywom kierowniczym oraz członkom naszej licznej społeczności uczelnianej da gwarancję dobrego ich zrealizowania.

Politechnika Wrocławska stanowi częstkę wrocławskiego ośrodka naukowego, jej pracownicy i studenci to część społeczeństwa naszego pięknego miasta. Nie może nas zabraknąć nigdzie tam, gdzie istnieje zapotrzebowanie na naszą działalność naukową i kulturotwórczą. Równocześnie jesteśmy w pełni świadomi, iż to otoczenie oddziałuje na nasze sprawy i że nadal liczymy na życzliwość i pomoc wszystkich tych instytucji, które do tej pory pomocy tej nam nie szczędziły. Za nią, za wszystkie konstruktywne uwagi składam w nowym roku akademickim serdeczne podziękowanie Komitetowi Wojewódzkiemu Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, władzom miasta i województwa, licznym ministerstwom, zjednoczeniom i zakładom pracy. Składam również podziękowanie wszystkim pracownikom i studentom Politechniki Wrocławskiej za ich dotychczasową ofiarność, aktywność i dowody głębokiego przywiązania do naszej uczelni. Niech nadchodzący rok akademicki 1973/74 będzie rokiem dalszych sukcesów naszej instytucji, rokiem sukcesów osobistych całej naszej uczelnianej społeczności."



# INŻYNIERIA MATERIAŁOWA

z cyklu: wielkie programy

Przedstawiamy kolejny, trzeci już artykuł omawiający, z konieczności bardzo ogólnie, podstawowe założenia Wielkiego Programu, realizowanego w naszej Uczelni od 1972 roku pod nazwą „Inżynieria Materiałowa”. Przypominamy tytuły poprzednich: „TYLKO JEDNA ZIEMIA” — Sigma nr 8(48) — 1972/73, WASC — Sigma nr 9-10(49-50) — 1972/73.

Redakcja

**P**od nazwą „Inżynieria Materiałowa” rozumie się na ogół zespół różnych dyscyplin naukowych, których wspólnym celem jest badanie zależności pomiędzy budową (strukturą) różnych substancji, a ich makroskopowymi właściwościami, takimi np. jak przewodność elektryczna czy wytrzymałość mechaniczna. Poznanie tego rodzaju korelacji jest kluczowym zagadnieniem techniki jutra — pozwoli bowiem na opanowanie w przyszłości metod projektowania i wytwarzania materiałów o z góry przewidywanych i pożądanym parametrach.

Uruchomienie w Politechnice Wrocławskiej szeroko zakrojonych, intensywnych prac badawczych w dziedzinie Inżynierii Materiałowej jest konsekwencją obserwowanego aktualnie w

nauce i technice światowej trendu rozwojowego. Polega on na stopniowym odchodzeniu od rozwiązywania nowych problemów metodami konstrukcyjno-układowymi na rzecz metod materiałowo-technologicznych. Nowe urządzenia będą powstawać coraz częściej jako rezultat wprowadzania do techniki nowych materiałów bądź zastosowania nowo odkrytych zjawisk, niż jako wynik kolejnego skomplikowania konstrukcji (czy układu) opartego na użyciu materiałów tradycyjnych i wykorzystania znanych już zjawisk. Jako przykład posłużyć może rozwój układów elektronicznych. Do niedawna złożone urządzenia elektroniczne tworzone poprzez rozwijanie lub łączenie urządzeń prostych. Pociągało to za sobą coraz większe skomplikowanie układów, wzrost ich gęstości upakowa-

nia, oraz — a może przede wszystkim — potrzebę szczegółowego określenia przez przyszłych użytkowników własności podstawowych elementów, użytych do ich montażu. To ostatnie coraz częściej prowadziło do kolizji między stawianymi wymaganiami a rozwojowymi możliwościami elementów. Dodatkowo, konstruktorzy elementów projektowali je na podstawie wąsko wyspecjalizowanej — w ramach jednej dziedziny — technologii, nie znając do końca funkcji i warunków pracy tego elementu w urządzeniach. Nieustanny wzrost stopnia skomplikowania układu przy różnorodności wyspecjalizowanych nauk i technologii doprowadził do tworzenia projektów urządzeń prawdziwie karykaturalnych, których produkcji musiano poniechać. Przykładem może być próba skonstruowania szybko

Fot. M. OHANOWICZ





liczącej, rozbudowanej maszyny cyfrowej w oparciu o lampy próżniowe. O ile bowiem w początkach lat 50-tych (era rozkwitu lamp elektronowych) maszyna cyfrowa zawierała około 1000 elementów czynnych, w początkach lat 60-tych ich liczba dochodziła do ok. 200 tysięcy (a całkowita liczba elementów przekraczała milion), to obecnie działają maszyny zawierające wiele milionów elementów.

Istnieją nadal techniczne i ekonomiczne możliwości opracowania układów elektronicznych złożonych z ogromnych ilości elementów. Staje się jednak coraz bardziej jasne, że nie jest to pożądanym kierunkiem rozwoju. Wspólną bowiem cechą dotychczasowego postępu jest realizacja funkcji w oparciu o koncepcję klasycznego układu złożonego z tradycyjnych elementów. Nawet po optymalizacji takiego układu, zmniejszeniu liczby jego składników do minimum i zgrupowaniu ich możliwie gęsto, końcowa liczba elementów pozostanie jednak przerażająco ogromna. Istotnym osiągnięciem może być zatem tylko całkowite odrzucenie koncepcji klasycznych układów i wykorzystanie, w sposób możliwie najprostszy do realizacji najbardziej skomplikowanych zadań — podstawowych własności materii i nowych zjawisk.

Powyższe rozważania, aczkolwiek przeprowadzone na przykładzie elektroniki, dają ogólny wniosek: realizację zadanych urządzeń funkcji osiągnąć należy bez gromadzenia i zwielokrotniania liczby elementów bądź dal-

szej komplikacji konstrukcji czy układu, a poprzez tworzenie nowych materiałów i odkrywanie nowych zjawisk w nich zachodzących.

Program Inżynierii Materiałowej realizowany u nas ma obejmować głównie (przynajmniej na początku) — badanie podstawowe w dziedzinie fizykochemicznych własności materii, w niedalekiej zaś przyszłości — modernizację dydaktyki w Politechnice Wrocławskiej w zakresie materiałoznawstwa, oraz — współpracę z przemysłem, polegającą na wprowadzeniu do praktyki przemysłowej nowych materiałów bądź poprawie własności materiałów aktualnie stosowanych.

Tak sformułowane zadania nie są w Uczelni oszałamiającą nowością, bowiem prace badawcze nad rozwojem nowych materiałów są w pewnym zakresie prowadzone w różnych gałęziach techniki już od dawna. Czy zatem celowe jest tworzenie programu „Inżynieria Materiałowa”?

Wydaje się, że bez wątpienia tak, i to z dwóch zasadniczych powodów, bo:

— po pierwsze, należy zintensyfikować i co ważniejsze, zespolic wyniki badań z różnych dziedzin, pracujących zazwyczaj bez wzajemnej koordynacji;

— po drugie, należy wprowadzić zasadnicze zmiany w modelu dydaktycznym wyższej uczelni, chcąc kształcić inżyniera na miarę nowoczesnej techniki.

Problem pierwszy — integracji badań naukowych — wynika w gruncie rzeczy z samej istoty zamierzeń „Inżynierii Materiałowej”. Bez względu bowiem na różnorodność stosowanych aktualnie w technice materiałów, podstawy fizykochemiczne, ich własności są i będą wspólne. Okazuje się, że często nie jest nawet istotny rodzaj materiału a tylko zjawisko fizyczne. Tu za przykład posłużyć może wpływ defektów w strukturze krystalicznej materiału na jego parametry elektryczne, optyczne czy mechaniczne. Innym przykładem problemów wspólnych dla różnych materiałów mogą być zjawiska starzeniowe, które w nowoczesnym materiałoznawstwie odgrywają coraz donioślejszą rolę. Nie brak bowiem na ogół materiałów o odpowiednich — w stanie początkowym — własnościach, które nie wytrzymują później uciążliwych warunków pracy.

Konieczność szerokiej integracji badań w ramach „Inżynierii Materiałowej” predysponuje do jej podjęcia przede wszystkim Wyższe Szkoły Techniczne. Ani w instytutach PAN, ani — tym bardziej — w instytutach resortowych nie istnieją warunki do połączenia tak dużej ilości i tak różnych dyscyplin naukowych. To po pierwsze. Po drugie — wraz z tworzeniem nowych dziedzin techniki trzeba stworzyć nowe kadry specjalistów, zdolne je twórczo stosować. A to aktualnie można zrobić tylko w Politechnice.

JANUSZ M. PAWLIKOWSKI

# obiegówka

Starym i niedobrym zwyczajem co roku w okresie, kiedy dyplomanci dobijają do końca swego mniej lub bardziej pracowitego studenckiego żywota, rozpoczyna się wielka wędrówka ludów, połączona ze zdobywaniem stempek w kartach obiegowych. Zazwyczaj delikwent zmuszony jest do odwiedzenia około dwudziestu urzędów i instytucji, z którymi w większości nie miał żadnego kontaktu przez pięć lat studiów, a o których istnieniu dowiaduje się z miejsca na pieczątkę, figurującego w obiegówce. Oprócz pięciu bibliotek (w tym również i Biblioteki Uniwersyteckiej) trzeba „zaliczyć” takie urzędy jak: Likwidatura, Dział Gospodarczy, oddział PTTK Politechniki — nie mówiąc już o organizacjach młodzieżowych, związkach sportowych i Studium Wojskowym.

Cała ta bieżanina zabiera mnóstwo czasu. Przy odrobinie szczęścia pieczątki można skompletować w ciągu trzech dni (czas ten może być znacznie skrócony w wypadku posiadania przez studenta własnego środka lokomocji). Bywa jednak, że na skutek ograniczonych godzin urzędowania poszczególnych instytucji, albo niedopełnienia formalności przez studenta (brak indeksu) zachodzi konieczność kilkakrotnego odwiedzania danego biura czy urzędu i cykl załatwiania obiegówki automatycznie się przedłuża.

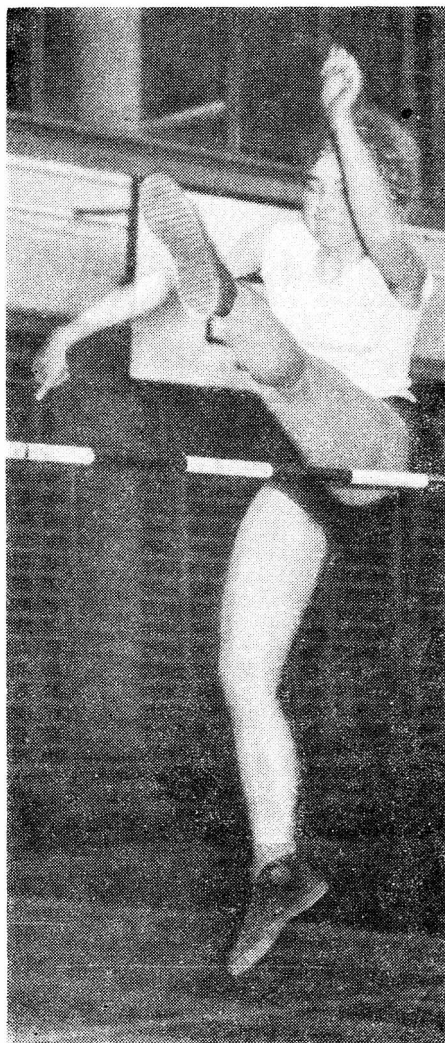
Sprawę można by załatwić znacznie prościej. Przecież zainteresowane insty-

tucje mogłyby przesłać do dziekana-tów listy studentów, z którymi nie dokonały rozliczeń. Dziekanat wywie-szałby te listy, a ci, którzy mają coś na sumieniu, załatwialiby w określonym terminie swoje sprawy, przedstawiali dokument, który „oczyszczałby” ich z zarzutów i prawdopodobnie wszyscy byliby zadowoleni. Podejrzewam, że oszczędziłoby to dużo czasu nie tylko studentom, ale i wielu instytucjom. Przybicie około 2000 pieczętek rocznie na samych tylko obiegówkach jest czynnością stosunkowo czasochłonna. Tym bardziej, że przed przyłożeniem urzędowego stempla trzeba przejrzeć gruby rejestr, odnaleźć nazwisko delikwenta i dopiero potem, po stwierdzeniu, że jest on niewinny, fakt ten prawnie uwierzytelnić.

W czasie mojej wędrówki z obiegówką zaobserwowałam jeszcze jedno ciekawe zjawisko. W niektórych biurach panie są tak zrezygnowane, że na dźwięk słów „ja z obiegówką” nie zadają sobie najmniejszego trudu żeby sprawdzić kto zacy i co ma na sumieniu i przybijają stemplek nie odkładając nawet słuchawki telefonicznej.

Wtedy właśnie zadałam sobie pytanie „po co to wszystko?”. Może ktoś, kto wymyślił obiegówki traktował je jako mały trening przed wejściem w dorosłe zbiurokratyzowane życie?

MAŁGORZATA MICHALAK





# LUDZIE i NAUKA

## problemy środowiska naukowego

**U**ważnie śledzę wypowiedzi zamieszczone na łamach „Sigmy” na temat środowiska naukowego, niezwykle zresztą aktualny jak i szeroki. Zamieszczone w innych pismach wypowiedzi uznanych autorytetów polskiej nauki dotyczące niektórych aspektów środowiska naukowego wskazują na szeroki zasięg tej problematyki, wykraczający poza mury naszej uczelni, miasta czy regionu. Jednakże w naszych warunkach problemy środowiska naukowego nabierają szczególnej aktualności wobec permanentnej reformy i ciągłego doskonalenia struktury organizacyjnej. Przeprowadzone reformy powinny wszak sprzyjać umacnianiu się istniejącego, niekiedy zaś wręcz kreowaniu autentycznie naukowego środowiska, które nieustannie rodzi problemy wymagające pilnych rozwiązań. Powróciłbym jeszcze do kwestii samego pojęcia środowiska naukowego i jego specyfiki.

Ogólnie, niezależnie od konkretnej jego postaci, przez środowisko naukowe rozumiemy społeczność złączoną więzami formalnymi i nieformalnymi wraz z całokształtem warunków jej egzystencji, wyodrębnioną z większych zbiorowości głównie w oparciu o zadania, funkcje, które ma pełnić, do których jest powołana. Takie ujęcie jest na tyle szerokie by można je było odnieść do różnych wyodrębnionych grup, zespołów ludzkich. Środowisko bywa jednak zawsze konkretne. W zainicjowanej dyskusji przedmiotem zainteresowania jest środowisko naukowe; przymiotnik lokalizuje wypowiedzi wokół społeczności, której charakter, cele i zadania wyznaczają nauka i badania naukowe. Odnoszę wrażenie, że w dyskusji na temat środowiska naukowego zwraca się uwagę głównie na okoliczności, dzięki którym środowisko staje się autentycznie naukowe; jest to już jednak kwestia jego oceny i odpowiednich dla tego celu kryteriów i mierników. Dodałbym jeszcze, że stopień realizacji głównego zadania czy zadań stanowi główne kryterium oceny interesującego nas środowiska naukowego.

W związku z tym powstaje szereg istotnych, niekiedy złożonych problemów dla środowiska naukowego, szczególnie dla takiego jak nasze (politechniczne), gdzie nauka, badania naukowe nie stanowią jedynego jego zadania (abstrahując od oceny ich miejsca w stosunku do dydaktyki i wychowania). Niektóre z nich dostrzec można w długim okresie, kiedy np. fluktuacje w ocenie miejsca badań naukowych są

szczególnie wyraźnie widoczne: w skrajnych wypadkach od wynoszenia nauki do wyżyn głównego celu środowiska, a w konsekwencji do nadrzędnego kryterium oceny pracowników i zespołów, albo spychania jej do roli nieomal hobby poszczególnych jednostek. Fatalne konsekwencje takiego podejścia dla środowiska naukowego nie podlegają dyskusji, i to niezależnie od zakresu rozumienia tego pojęcia. Przyjmijmy jednak — zgodnie zresztą z praktyką — że globalnie proporcje te (nauka, dydaktyka, wychowanie) kształtują się właściwie.

Sformułowanie cech specyficznych środowiska naukowego nie jest sprawą łatwą. Wiele z przytaczanych często jak pomoc, uczciwość itp., to po prostu ogólne normy godziwego postępowania, których przestrzeganie warunkuje sprawne funkcjonowanie każdej społeczności złączonej więzami formalnymi i nieformalnymi, czyli każdego środowiska. Niektóre z tych ogólnych cech odnoszą się szczególnie do środowiska naukowego. Dwie z nich wydają mi się godne podkreślenia:

— wspólnota zadań i jednakowe w środowisku rozumienie celów i ich wagi, — odpowiedni klimat w sensie świadomej refleksji środowiska, dotyczącej czynników obiektywnych i subiektywnych realnie występujących w procesie pracy.

Z pierwszą wiąże się postulat wyraźnego sformułowania zadań i ich znaczenia, co stanowi istotny warunek celowego działania a zarazem ważny czynnik integrujący. Środowisko w całości powinno się z nimi identyfikować, tj. wiązać, względnie utożsamiać powodzenie w ich realizacji z własnym sukcesem. Spotykana często rozbieżność tematyczna pracy badawczej i dydaktycznej temu nie sprzyja; podobnie, jak i potrzeba częstych zmian tematów badawczych zmniejsza efektywność działania. Wyrazem uznania wagi tych problemów w naszym np. środowisku uczelnianym jest dążenie do samookreślenia poszczególnych insyтуtów, ich miejsca w perspektywnym modelu szkoły. Jest to zadanie niełatwe, wymagające nieraz wnikliwych studiów; wnioski natomiast mogą w niektórych wypadkach okazać się mało optymistyczne — ewidentne źródło ujawnienia się sprzecznych interesów, czy sytuacji konfliktowych.

Natomiast odpowiedni klimat środowiska naukowego jest kształtowany przez wiele czynników jak np. poczucie społecznej użyteczności realizowanych zadań badawczych, istnienie

względnie brak sukcesów, wymagania i wyobrażenia dotyczące stosunków, zdarzeń — które odpowiadają, lub nie odpowiadają realiom. Odpowiednia, zdrowa atmosfera zależy od przestrzegania wielu elementarnych zasad postępowania, że wspomnę znane zapewne, sformułowane przez prof. Marczewskiego w formie „dziesięciu przykazań”, zasady wypracowane przez polską szkołę matematyczną. Każda z nich to odrębny problem środowiska naukowego, choć listy tej nie sposób traktować jako zamkniętej.

Liczne konsekwencje dla środowiska naukowego wiążą się z zasadą popierania zespołowej pracy, która w pewnej mierze koresponduje z zasadą IV („zasada ciągłej współpracy”) dekalogu prof. Marczewskiego. Obiektywna i narastająca konieczność jej przestrzegania w środowisku naukowym — pominię argumenty za nią przemawiające — jest ewidentna. Nauka jako siła twórcza staje się szczególnym „przemysłem” i wymaga też na wzór przemysłu form organizacji pracy. W tym tkwi, moim zdaniem, główna siła napędowa łamania starych i tworzenia nowych struktur w środowisku naukowym. Zwiększa to wprawdzie jego efektywność ale prowadzi zarazem do następstw uciążliwych dla środowiska. Mam na myśli następstwa w rodzaju:

- zmniejszenia swobody i samodzielności jednostek w kształtowaniu indywidualnych warunków pracy, ściśle podporządkowanie celom formułowanym przez innych, wzrost dyscypliny i podporządkowania,
- przymusu ścisłej organizacji toku pracy oraz merytorycznej i czasowej koordynacji,
- zmniejszającej się możliwości „dokładnego” wykazania się indywidualnym dorobkiem.

Są to zjawiska i trendy obiektywne, odgrywające coraz większą rolę w tworzeniu odpowiedniego klimatu w środowisku naukowym. Rodzą też nowe i złożone problemy dla kierownictwa różnych szczebli, którego zadanie polega na stworzeniu warunków odpowiadających powyższemu wymogom a zarazem zapewnieniu niezbędnej dla twórczej pracy atmosfery swobody. Formułowanie zasad dla środowiska, czy nawet tylko powtarzanie, przypomnianie zasad znanych, brzmiących często banalnie, jest nie tylko celowe ale i pilne.

Szereg niekiedy drażliwych problemów wiąże się z „zasadą sprawiedliwego awansu”. Jest to w moim prze-



konaniu kwestia oceny (mierników) i bodźców sprzyjających spójnemu i sprawnemu działaniu społeczności naukowej. W tej dziedzinie specyfika środowiska naukowego ujawnia się najpełniej. Jest przeto zrozumiałe — widoczne wyraźnie w naszym środowisku — dążenie do możliwie ścisłego sprecyzowania odpowiednich mierników oceny a także, co niemniej ważne, do ich obiektywizacji. Brak takowych mierników — źródło subiektywizmu i woluntaryzmu w ocenach i stosowaniu bodźców — wpływa mimo instytucjonalnych ograniczeń, dezintegrująco na środowisko. Jakkolwiek wielokrotnie podejmowano już próby uporządkowania tej dziedziny, dotychczasowe rozwiązania trudno byłoby jednak uznać za zadowalające.

W środowisku naukowym przedmiotem oceny są osiągnięcia w dziedzinie

badan naukowych. Dwie sprawy budzą tu, zresztą nie od dziś i nie tylko u nas, szczególne zainteresowanie środowiska: pojęcie publikacji naukowych oraz współautorstwa. Uznany na ogół przejawami osiągnięć naukowych są w tym środowisku doktoraty i habilitacje, choć niekiedy — raczej rzadko — znaczenie i przydatność tych ostatnich bywają negowane (nie wnikać w motyw tej osobliwej kontestacji, obawiam się, że troska o dobro nauki i środowiska raczej rzadko przyświeca takiej postawie), zaś jako prace „na stopień” przeciwstawiane są niekiedy pracy „autentycznie naukowej”. Komplikacje prawdziwe pojawiają się przy ocenie pozostałego dorobku, gdzie wyraźnie i zupełnie słusznie preferuje się publikacje — osobliwie, że w kwestii samego pojęcia publikacji odnotować można rozbieżne stanowiska.

Podobnie problem autorstwa i współautorstwa, czy raczej prawdziwego współautorstwa. Niezwykłą aktualność właściwych rozwiązań w tej płaszczyźnie wiąże głównie z zasadą pracy zespołowej, o której już wspominałem i towarzyszącą jej potrzebą w miarę dokładnego określenia wkładu pracy autorów do wspólnego opracowania. W znanych mi wypowiedziach na ten temat eksponuje się szczególnie aspekty dotyczące sfery stosunków przełożony-podwładny, gdzie także powinna obowiązywać zasada, że współautorstwo formalne odpowiada rzeczywistości, tj. opiera się na rzeczywistym wkładzie pracy. Jest to jednak głównie kwestia dobrych obyczajów w danym środowisku, które niekiedy jeszcze bywają naruszane.

KAROL J. BŁAHUT

# CI OD POŻARU

W roku 1972 wybuchło na Politechnice 7 lokalnych pożarów, do których wzywano Straż Pożarną. Straty z tego tytułu wynoszą 9 tysięcy złotych. Suma niezbyt wygórowana. Pożary dzięki szybkiej interwencji Straży Pożarnej, dzięki dobremu zaopatrzeniu w podręczny sprzęt ochrony przeciwpożarowej, zostały stłumione w zarodku. Wpadanie w entuzjazm byłoby jednak całkiem nieuzasadnione. Przecież w którymś z tych przypadków mogło się nie udać! Wystarczyłby jeden moment uspienia czujności...

W naszej uczelni co roku odnotowuje się od kilku do kilkunastu pożarów, z których część kończy się tragicznie. Przyczyną jest przede wszystkim lekkomyślność ludzka i kompletny brak odpowiedzialności. Niedopałek papierosa wrzucony do wiklinowego kosza, niewylączone na noc piece czy urządzenia elektryczne, nie zabezpieczone materiały łatwopalne i wybuchowe — wszystko to może w konsekwencji doprowadzić do wielkiej tragedii.

Od 14 lat pracują w Politechnice dwaj panowie — Wiktor Pieszak i Mieczysław Góralik — obaj starsi ogólni-strze pożarnictwa. Ich pracy wiele starych murów zawdzięcza swe przetrwanie. Co kwartał panowie Pieszak i Góralik przeprowadzają w całej Uczelni kontrolę stanu bezpieczeństwa pożarowego, uzupełniają podręczny sprzęt ochrony przeciwpożarowej... wlepiają mandaty instytutom, które uparczywie i notorycznie uchylają się od przestrzegania przepisów przeciwpożarowych. Najwięcej problemów przyspa-



Fot. R. MAKOWSKI

rza Chemia. Duża ilość materiałów łatwopalnych i wybuchowych jaka siłą rzeczy nagromadzona jest we wszystkich instytucjach chemicznych, nie znajduje odpowiedniego zabezpieczenia na skutek ciasnoty lokalowej. Butle z odczynnikami przewalają się na korytarzach, zablokowane są drogi pożarowe. Nic dziwnego, że w nomenklaturze „strażackiej” wszystkie budynki zajmowane przez instytuty chemiczne otrzymały nazwę „małej prochowni”. O tę „prochownię” trzeba dbać najbardziej. Panowie Góralik i Pieszak nie ograniczają się tylko do sezonowej wymiany sprzętu ochrony p. poż. ale na bieżąco dostarczają wszystkie brakujące urządzenia.

Od października ubiegłego roku przydzielono im dwa pomieszczenia w małym budynku położonym między Inżynierią Sanitarną a Gmachem Elektroniki. Urządzili sobie tu mały warsztat, w którym można dokonywać bieżących drobnych napraw sprzętu. Sami we własnym zakresie odmalowali i upiększyli swoje nowe miejsce pracy, sami przenieśli sprzęt ze starego baru, w którym wypadło im poprzednio pracować.

Panowie Pieszak i Góralik prócz pracy w Politechnice są etatowymi pracownikami Zawodowej Straży Pożarnej. Bardzo często swoich podopiecznych strażaków werbują na ćwiczenia na terenie Politechniki. Z własnego doświadczenia orientują się, że o powodzeniu każdej akcji ratunkowej decyduje znajomość terenu, a tym samym znajomość zaistniałego zagrożenia. W razie wybuchu prawdziwego pożaru osobiście uczestniczą w akcji.

Do ich obowiązków należy przeprowadzanie szkolenia z zakresu ochrony przeciwpożarowej dla wszystkich nowo przyjętych pracowników. W swoim pokoju wszystkie ściany obwiesili ilustracjami obrazującymi zachowanie się w wypadku zagrożenia pożarowego.

Mimo wielu i bardzo różnorodnych obowiązków znajdują czas, żeby poza godzinami pracy dokonać inspekcji obiektów Politechniki umiejscowionych poza Wrocławiem i jak twierdzi ich kierownik p. Edward Miler, należą do grupy niezawodnych, gotowych na każde zawołanie pracowników.

## EGZAMIN NA SWOJSKĄ NUTĘ

I znowu pod koniec czerwca, tak jak to co roku bywa, Politechnika uruchomiła swoją fabrykę snów. Na okres dziewięciu dni gmach D-1 został całkowicie oddany na usługi tych, którzy z różnym powodzeniem usiłowali rozpocząć realizację swoich życiowych marzeń. Nie zawsze niestety zamiary te miały pokrycie w rzetelnych wiadomościach ale my egzaminatorzy winni byliśmy wszystkim i wszystkiego, co tylko ślina na język przyniosła a pamięć wyszperała, wysłuchiwać. Z pokorą i cierpliwie. Za pięć zetów od łebka.

Od paru lat, co na ogół powitano z prawdziwą radością, egzaminy toczą się w atmosferze tajemniczej anonimowości. Kandydaci bez względu na wiek, pochodzenie i płeć rozróżniani byli jedynie na podstawie numerków. Tylko jeden z moich kolegów wyraził szczerzy żal, że obok kilkucyfrowego numerku co ładniejszej z kandydatek nie umieszcza się jeszcze jednego, pięciocyfrowego, z numerem jej telefonu. Ale nie uważam aby to niedopatrzenie miało większy wpływ na przebieg egzaminów i samopoczucie samych egzaminatorów. Ja miałem tylko jeden żal: że przepustka wystawiona na moje nazwisko nie pasuje do kieszonki mojej marynarki.

Powinno nas cieszyć również to, że nie wiemy na jaki wydział dany kandydat zdaje. Zwalnia nas to automatycznie od przykrego obowiązku zmuszania się do obiektywności, na którą nie zawsze byłoby nas stać. Ja na przykład po poranku, kiedy dokonywałem cudów aby wykonać podstawowe zabiegi higieniczne wokół własnej osoby, bynajmniej nie usatysfakcjonowany zapewnieniami, że rozsądne ciśnienie wody będzie w mojej dzielnicy za lat cztery, z ciągle brzęczącym w uszach smętnym zawodzeniem pustych rur, z całkowitą premedytacją siałbym spustoszenie wśród kandydatów, ubiegających się o przyjęcie na Wydział Inżynierii Sanitarnej. Tak samo zapewne postępowałby z potencjalnymi słuchaczami Wydziału Mechanicznego mój przyjaciel, skromny posiadacz syrenki 104, któremu nawalił gaźnik i który zmuszony był opróżniać cały bak i zlewać ciurkającą wątlwym strumyczkiem benzynę do karnistrów aby uporać się z drobnym uszkodzeniem, bo bak w syrence 104 nie wiadomo z jakich powodów nie został wyposażony w kurek paliwa.

Jak widać anonimowość egzaminów jest nie tylko pożyteczna dla kandydatów, ale jest również dobrodziejstwem dla samych egzaminatorów. System można by rzec wyśmienity. I powinno się, mimo naprawdę drobnych uchybień, całej armii organizatorów, którzy czuwaliby aby nikomu nic nie zabrakło, wystawić notę celującą. Przez dziewięć dni, punktualnie o wyznaczonej porze, przedzierałem się przy wejściu do D-1 przez zbity tłum mamuś i tatusiów, przerażonych chyba bardziej niż ich pociechy, przemyciałem się z przepustką

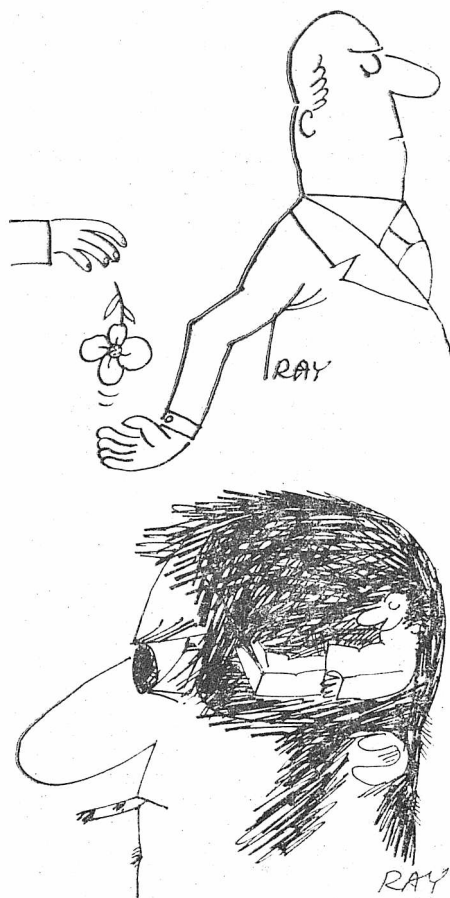
przez liczne i czujne strażę, podpisywałem listę obecności obok ładnej dziewczyny, której uwagę na próżno starałem się, chociażby na chwilę, zaabsorbować swoją skromną osobą, biegłem do swojej komisji i siedząc przez sześć godzin na twardym zydelku, w tradycyjnym już upale, pociągając ze szklaneczki wodę z syfonu, która miała taki smak jakby czerpano ją prosto z Odry, prałem mózgi niezlicznym ilościami numerków i tylko numerków bo o właścicielach mózgów nie wiedziałem nic. I wydawałoby się mniej doświadczonym, że jest to system bez zarzutu. Ale Polak ma główkę na karku i nosi ją prosię państwa nie od parady. Mniej więcej od początku czerwca, a potem codziennie w okresie egzaminacyjnym odbywała się na terenie uczelni i tuż przed wejściem do gmachu D-1 swojska, jedyna chyba tego rodzaju na świecie, giełda. Potomkowie tych, którzy dzielnie przeżyli potop szwedzki, samowolę szlachty, rozbiory i okupację, miliony przepisów, okresy błędów, wzloty i upadki, stali solidarnie (Polak tylko wtedy jest solidarny kiedy łamie rozporządzenia) ramię przy ramieniu, partyjni obok wierzących, bezpartyjni i niewierzący, prezentując znajomym egzaminatorom swych skromnie spuszczaających oczy, protegowanych. Ponieważ nie umiem, tak jak na przykład moja, skądinąd uroczą, koleżanka odmawiać prosto z mostu, wysłuchiwałem — przeklinając własną słabość — wszelkich błagań o specjalne traktowanie i nachalnie wbijanych w moją pamięć mniej lub bardziej przemysłowych znaków rozpoznawczych, którymi mieli być nacechowani, jak bydło na targu, ci znajomi znajomych. Po egzaminach wymykałem się chyłkiem z gmachu i barykadowałem się w swoim skromnym domku na przedmieściach, wyłączwszy uprzednio telefon. Nawet chłodna, po dyszącym żarem dniu noc nie przynosiła mi upragnionego wytchnienia, bo wprawdzie śniła mi się uroczą dziewczyna od list obecności ale dzieliły mnie od niej nieprzebyte tłumy protegowanych ze znakami rozpoznawczymi, korowodem zjaw pałających się po mojej śniącej podświadomości. Również dnia następnego starałem się unikać wszystkich i wszystkiego, udawałem krótkowidza większego niż jestem, całym wysiłkiem woli pragnąłem stać się niewidzialnym ale niestety wszystko to bez większego powodzenia. Ba, nawet w stołówce, o której wiadomo między innymi, że w okresie letnim nie można wysiedzieć w niej dłużej niż dziesięć minut i nie rozpuścić się, złany potem, nerwowo przełykając zimnego zgniotka z mielonego mięsa i popijając go płynem o temperaturze płynnego ołowiu (z którym kandydaci mieli tyle kłopotów, a który w zadaniu z zestawu 45 lano nie wiadomo po co do wglębenia zrobionego w bryle lodu) musiałem wysłuchiwać o wysokich blondynach z rzadkimi wąsikami, nerwowych pannicach w

białych sukienkach z granatowymi wyłogami, zagranicznych długopisach, torebkach w kaczory donaldy, zapoznawano mnie z geometrią rozmaitych, przypinanych w klapy marynarek znaczków, od rajdowych począwszy a na znaczkach klubowych pletwonurków Księstwa Monaco skończywszy, itd. Oblewając, w godzinę później, nic nie umiającego kandydata, nie miałem czasu zastanawiać się dlaczego opuścił w ogóle on mury szkoły podstawowej, ale z przerażeniem usiłowałem dociec komu się tym samym narażam bo kandydat miał znaczek tego od Z. ale z Myszką Miki, która miała być na torebce kogoś od X., długopis był znowu Y-ka, a całość ściętego, podobna była do milej pani pracującej w znajomym sklepie, która zawsze zostawiała mi lepszy bochenek chleba.

Toteż nie dziwcie się, że poddawany takim stresom z prawdziwym zadowoleniem powitałem egzaminów dzień ostatni i z rozkoszą zacząłem planować urlop nie zrażony tym, że, jak to również należy do tradycji, pogoda po egzaminach uległa radykalnej zmianie.

Podpisując się zielonym mazakiem podarowanym mi przez Komisję Uczelnianą życzę wszystkim przetrwania. Do następnego roku!

PEPE





Po wakacyjnej przerwie, artykułami dra Zdzisława DROZDOWSKIEGO i wspomnieniami Andrzeja GŁĄBA, opracowanymi w redakcji, wznawiamy – zainicjowany przez Koło ZBoWiD przy Politechnice Wrocławskiej – cykl:



# Taka zwykła historia lat 40-tych

Zdzisław Drozdowski

**M**oja droga do Polski zaczęła się właściwie już 25 sierpnia 1939 roku. W tym dniu powróciłem do domu do Kalisza, wezwany przed czasem z kończących się wakacji szkolnych przez rodziców, zaniepokojonych narastającymi nastrojami i wyraźnymi przygotowaniami wojennymi. Po powrocie, zgłosiłem się natychmiast do „mojej” kompanii Przysposobienia Wojskowego przy 29 Pułku Strzelców Kaniowskich, stacjonującej w Kaliszu. Większość tego pododdziału stanowili moi koledzy z Gimnazjum im. T. Kościuszki. Wspomniany pułk wraz z formacjami pomocniczymi wchodził w skład 25 Dywizji Piechoty, Armii „Poznań”, wslawionej wkrótce w bitwie nad Bzurą. Kompania PW została przydzielona do terytorialnej obrony przeciwlotniczej (OPL) i w ten sposób znalazłem się w składzie osobowym tzw. „punktu dozoru” przeciwlotniczego. Sieć tych punktów, to był ówczesny wrześniowy „Polski Radar”, który do czasu działania łączności telefonicznej funkcjonował zupełnie dobrze współpracując ze stacjonującą w rejonie Warszawy Lotniczą Brygadą Pościgową. Starsze pokolenie dobrze pamięta ówczesne zagadkowe meldunki kodowe: *...uwaga, uwaga, nadchodzi...*, podawane przez działającą na początku radiofonie. Samo stanowisko zorganizowane było na dachu jednego z nielicznych domów w podkaliskiej miejscowości Szczypiorno. Służbę pełniliśmy z zapalem i poświęceniem, zgodnie z powszechnym wówczas nastrojem patriotyzmu i woli walki w obronie Ojczyzny. Tradycje takie kultywowane były zresztą czynnie w mojej rodzinie od pokoleń. Pełniąc służbę, na próżno wycekiwaliśmy na przydział broni strzeleckiej, którą obiecywano nam ciągle dostarczyć. Niestety, już po kilku dniach września nadeszły bolesne wieści o przerwaniu polskiego frontu obronnego i wreszcie rozkaz powszechnej ewakuacji. Dane było mi przeżyć ją wraz z rodzicami na zatłoczonych uciekinierami drogach Wielkopolski i Mazowsza, pod bombami i ostrzałem Luftwaffe, która bezkarnie masakrowała te niekończące się kolumny. Wówczas po raz pierwszy zetknąłem się naocznie z autentyczną grozą wojny, o której dotąd słyszałem tylko z opowiadań „starszych”. A trafiliśmy akurat w okolice Łowicza i Skierniewic, w trakcie największego nasilenia bombardowań tego rejonu, w którym rozgrywał się właśnie ostatni akt bohaterkiej i krwawej bitwy zwanej później „nad Bzurą”. Szybko dogoniły nas tu czołówki pancerno-motorowe Wehrmachtu i na tym właściwie moja kampania wrześniowa zakończyła się.

Stwierdzam jednak, że ani mnie ani nikomu z wielu spotkanych osób, ani na chwilę nie przychodziło do głowy myśl o kapitulacji czy definitywnej rezygnacji. Nastrój ten, mimo powszechnego przynębienia i uczucia bezsilności wobec „technik” wroga i żalu po licznych ofiarach, zastałem po powrocie do Kalisza. Wkrótce nawiązałem kontakt z odnalezionymi kolegami. W lutym 1940 r., poprzez znajomości z zawodowymi wojskowymi, którzy szkolili nasze PW a uniknęli niewoli, zostałem przez jednego z nich zwerbowany do powstałego wówczas Związku Walki Zbrojnej (ZWZ – później AK) i zaprzysiężony pod pseudonimem „Lech”.

Zaczął się okres 4-letniej tragicznej okupacji.

Wkrótce, po zakończeniu kampanii wrześniowej, rozpoczęły się prześladowania i szczykna a następnie zabójstwa przede wszystkim znanych działaczy politycznych, inteligencji oraz systematyczne już od samego początku wyniszczanie ludności żydowskiej. Zaczęły się aresztowania i zsyłki do obozów koncentracyjnych.

W kwietniu 1940 zostałem niespodziewanie aresztowany i w grupie około 30 osób – w tym kilku moich kolegów – osadzony w zaimprovizowanym w czynszowej kamienicy – więzieniu. Byliśmy rzekomo „zakładnikami” ale dopiero teraz, w świetle badań i faktów historycznych wiadomo, że była to jedna z pierwszych na terenie Kalisza akcji „Nacht und Nebel” hitlerowskiego Gestapo, mająca na celu zniszczenie polskiej inteligencji. Kilka przypadkowo wybranych osób wypuszczono – wśród nich i mnie. Dalszy mój pobyt w Kaliszu, upływający w narastającym terrorze niemieckim – szczególnie dotkliwym na tamtejszym terenie włączonym do Rzeszy jako tzw. Wartheland (obszar Warty) – przyniósł mi w efekcie powtórne aresztowanie, tym razem wraz z Ojcem, w marcu 1941. Tym razem była to grupa ok. 200 osób składająca się przeważnie z inteligencji. Szczęśliwym trafem i wówczas znaleźliśmy się wśród niewielu wypuszczonych na wolność. Dzięki temu mogę dzisiaj pisać swoje wspomnienia, gdyż prawie wszyscy pozostali zginęli w obozach, do których zostali wywiezieni.

W maju tegoż roku zostałem wraz z rodzicami wysiedlony do tzw. Generalnej Guberni. Los rzucił nas w okolice Rzeszowa do miejscowości Kolbuszowa (zresztą miejsca mego urodzenia). W trudnych warunkach vegetacji okupacyjnej zatrudniłem się w pobliskim majątku rolnym jako traktorzysta i pomocnik kowalski. Przy całodzienniej ciężkiej pracy nie było wówczas dla mnie mowy o jakiejś nauce. Poznałem też gorzki smak „laskawego” chleba. Tam też zetknąłem się po raz pierwszy w życiu z problemami wsi i spotkałem szereg działaczy ludowych. Rozmowy z nimi unaoczyły mi wiele problemów społecznych i gospodarczych, o których przedtem nie miałem w ogóle pojęcia.

Przeznaczony do tzw. „rezerwy mobilizacyjnej” (ZWZ-AK) nie byłem czynny konspiracyjnie. Niezależnie od tego, w styczniu 1943 zostałem wcielony do tzw. Baudienstu, tj. Hufca Pracy dla Polaków i skierowany do Obozu Nr 4 w Rzeszowie. Był to i tak jeden z „łżejszych” obozów, bo przydzielony do tamtejszej fabryki silników lotniczych, dawniejszych polskich PZL. Warunki były tam tego rodzaju, że po trzech miesiącach pobytu dostałem klasycznego szkorbutu i tylko kuracja znajomego lekarza postawiła mnie na nogi. Podczas pracy w fabryce starałem się w miarę możliwości przyswajać sobie „technikę”, z którą zetknąłem się tu, a która interesowała mnie od najmłodszych lat. Po odpowiednim przeszkoleniu pracowałem tam aż do wyzwolenia jako tokarz. Zastało mnie ono w Kolbuszowej, dokąd uciekłem w ostatniej chwili przed zamierzoną ewakuacją fabryki w głąb Niemiec. Rychło wkroczyły tam też jednostki Ludowego Wojska Polskiego i w październiku 1944 roku powołany zostałem do jego szeregów.

Jako szofer i metalowiec skierowany zostałem przez ówczesny RUK Nisko do Rzeszowa, do organizującej się tam 10 Dywizji Piechoty wchodzącej w skład II Armii LWP, dowodzonej przez gen. K. Świerczewskiego. Skierowano mnie do 39 Pułku Artylerii Lekkiej, do tzw. Baterii Parkowej (szoferskiej). Także i tu panowały trudne warunki wojenne. Pododdziały skoszarowane były w starych czynszowych kamienicach, w absolutnym prymitywie. Większość umundurowania mimo nadchodzącej zimy stanowiły – drelichy. Dokuczały wszy, na które nie było rady. Brakowało żywności, lekarstw. Panował tyfus plamisty. Nie przeszkadzało to jednak w intensywnym szkoleniu, chociaż my szoferzy czekaliśmy przede wszystkim na przydział pojazdów. Wreszcie nadeszły ciężarówka: doskonałe amerykańskie studebakery i mniejsze ford.

W styczniu ruszyła wielka ofensywa radziecka. Pod koniec miesiąca wyruszyliśmy do Krakowa. Po kilkudniowym pobycie w Krakowie, przerzucono nas do Katowic, a kolejno na teren Pomorza Szczecińskiego (miejscowości: Berlink, Szczecinek) gdzie przewidywano nasz udział w forsowaniu Wału Pomorskiego. Tu jednak zastaliśmy sytuację już „wyjaśnioną” bohaterskimi i krwawymi bojami I Armii; tylko nasza piechota miała parę starć z pozostałymi po lasach grupami nieprzyjaciela. Wobec tego, drugim z kolei „wielkim marszem” przerzucono nas pod Wrocław.

Był akurat 1 kwietnia 1945 roku i pełna wiosna gdy mój pułk stanął w Pruśniczu. Wieczorem z pobliskich wzgórz trzebnickich obserwowałem lunę i pożary zdobywanego miasta, nie przypuszczając wówczas zupełnie, że dalsze moje losy będą już nierozdzielnie z nim związane. Huk i odgłosy detonacji docierały wyraźnie do nas. Widać było, że tam rozgorzało prawdziwe piekło.

Ostatecznie przerzuceni zostaliśmy kolejnym, trzecim „skokiem” poprzez świeżo zdobyte tereny nad Nysę, luzując trzymające tam front jednostki radzieckie. Teraz dopiero zaczęło się „normalne” życie frontowe. Mając przydział do oficera broni pułku, rozwiołem amunicję, a przy przemarszach ciągnąłem sprzęt artyleryjski. W tym charakterze, niewiele miałem okazji aby „sobie postrzelać”. Raczej to właśnie do mnie strzelano — na szczęście niecelnie. Zresztą gwoździ prawdy, tylko strefa przyfrontowa w zasięgu artylerii i miotaczy min była niebezpieczna. Głębiej, na tyłach był w zasadzie już „spokój”, bo akcje lotnictwa niemieckiego były na tym odcinku frontu raczej sporadyczne. Plagą i przyczyną znacznych strat były natomiast miny i wszelkiego rodzaju złośliwe „pułapki minowe”, a także pozostawieni na tyłach pojedynczy „snajperzy” niemieccy.

Przyszedł słynny „kwiecień nad Nysą” i krwawe forsowanie tej rzeki. Pierwsze natarcie na skutek nieudolności ówczesnego dowódcy 10 DP było nieudane i okupione wysokimi stratami ludzkimi. W wirze ówczesnych wydarzeń, nie miałem ani czasu ani „głowy” aby cokolwiek notować i teraz tylko niektóre nazwy utrwaliły się w mojej pamięci: Neuhammer, Neustadt, Senftenberg, Spremberg... W bitwie budziszynskiej znaleźliśmy się na zewnątrz klina

zagonu niemieckiego. Dzięki temu uniknęliśmy większych strat i początkowego chaosu, który powstał po nagłym uderzeniu flankowym grupy gen. Schoenera. Po zlikwidowaniu wylomu i przegrupowaniu, skierowani zostaliśmy na południe do Czechosłowacji, przełamując się w rejonie Żytawy przez Sudety (stąd też wzięła się późniejsza nazwa — przydomek 10 DP zwanej oddział „sudecką”).

Koniec wojny zastał mnie pod Pragą. Pamiętam dobrze majowy dzień, kiedy to przed południem nadeszła wieść o kapitulacji. Towarzyszyła jej kanonada radości „ze wszystkich łuf”. Spod Pragi, po różnych perypetiach dotarłem wraz z pułkiem do koszar „grunowskich” w Jeleniej Górze. Tam zastał mnie rozkaz demobilizacji maturzystów zamierzających kształcić się na wyższych studiach.

Po załatwieniu formalności i odwiedzinach u rodziców (którzy przez cały okres nie otrzymali ani jednego z moich listów), trafilłem początkiem października 1945 roku do Wrocławia. Tu w listopadzie, przyjęty zostałem na ówczesny Wydział Elektromechaniczny świeżo utworzonej Uczelni: Uniwersytetu i Politechniki Wrocławskiej. Oddał losy moje związałem z Wrocławiem i Jego Uczelnią Techniczną.

ZDZISŁAW DROZDOWSKI

# Poczucie obowiązku

(wspomnienia Andrzeja Głaba)

Fot. J. SAMOTUS



Nie chęć zwiedzenia nowych krain zmusiła Rodziców pana Andrzeja Głaba do wyjazdu z Polski. Lata międzywojenne nie były lekkim okresem dla sporej części naszych Rodaków. Do Francji wyemigrowali „za chlebem”, porzucili Ojczyznę bo jako bezrolni chłopcy nie mogli zagwarantować ani sobie, ani swoim dzieciom minimum egzystencji. Pracowali ciężko, jako robotnicy w winnicach. I wtedy właśnie wybuchła wojna. Po nieszczęsnej Kampanii Wrześniowej i rozbiciu Polskiej Armii, ówczesny Rząd nawiązał pertraktacje z Rządem Francuskim w sprawie utworzenia na terenie Francji — Polskiej Armii. Pan Andrzej Głab był jednym z pierwszych ochotników. Dziś kiedy patrzy z pewnej perspektywy na wydarzenia tamtych lat, sam sobie zadaje pytanie dlaczego tak postąpił. Nie traktuje tego jako aktu patriotyzmu — wtedy jeszcze — jak sam twierdzi, nie zdawał sobie sprawy z takich pojęć jak Ojczyzna, patriotyzm. W swoim życiu, od początku wypełnionym ciężką pracą, nie miał czasu na zastanawianie się i analizowanie tych spraw. Czuł tylko, że jego decyzja jest słuszna a jakiś instynkt dopowiedział mu, że „trzeba bić Niemców”.

Wkrótce się okazało, że z 24-tysięcznej rzeszy Polaków żyjących we Francji niewielu zgłosiło akces do Polskiej Armii. Trzeba więc było już utworzone Polskie Oddziały wcielić do Armii Francuskiej. Uzbrojeni w broń pamiętającą jeszcze czasy napoleońskie, przeszkoleni w trybie przyspieszonym, stanęli do walki.

Pan Andrzej Głab został przydzielony do grupy sanitariuszy.

Pewnego dnia do budynku, w którym stacjonował wraz ze swoim pułkiem wpadł zadyszany żołnierz. „Trzy kilometry stąd znajduje się ranny oficer francuski, trzeba go opatrzyć i przenieść w bezpieczne miejsce. Poszukuję trzech ochotników”. I tym razem pan Andrzej się zgłosił. Pod ostrzałem niemieckich karabinów, on i jego dwaj koledzy przedostali się do rannego. Za ten czyn dowództwo francuskie odznaczyło polskiego żołnierza — Andrzeja Głaba Krzyżem Wojennym z Gwiazdą.



Gdy Hitler i jego zaborcza armia opanowali ziemię francuską, polskie oddziały zostały internowane na terenie Szwajcarii.

Nie była to niewola, ale też nie można było mówić o wolności. Początkowo Szwajcarzy traktowali Polaków względnie przyzwoicie, w momencie jednak gdy zaczęły docierać wiadomości o zwycięstwach armii hitlerowskiej, życie w Szwajcarii — kraju neutralnym — stawało się coraz trudniejsze.

Dwa razy pan Głęb próbował uciekać wraz ze swymi czterema kolegami do Francji, żeby nieść w miarę swych sił pomoc swojej drugiej Ojczyźnie. Dwa razy poniósł porażkę.

W tym czasie ziemia szwajcarska, była miejscem, do którego ściągali żołnierze polscy, z różnych zakątków ziemi. Tu rozpoczynał swą działalność gen. Sikorski, tu przybyli oficerowie rozbitej Armii Polskiej, tu szukali azylu uczestnicy walk w Hiszpanii. Wytworzyła się więc specyficzna arena, na której ścierały się różnego rodzaju poglądy od skrajnie prawicowych, do lewicowych. Dodatkowego rozłamu dokonywały warunki materialne. Prości żołnierze za całodzienną pracę otrzymywali wynagrodzenie rzędu jednego franka szwajcarskiego i 25 centymów żołdu (kg chleba kosztował 60 centymów), oficerom płacono pięć franków żołdu, a jeżeli podjęli dodatkowo jakąś funkcję, otrzymywali trzy franki. Niedemokratyczne stosunki między przełożonymi a podwładnymi, wzbudzały niezadowolenie wśród Polaków przybyłych z Francji.

Po obozie zaczęły krążyć ulotki kolportowane przez działaczy lewicowych, których główny trzon stanowili uczestnicy walk w Hiszpanii. W tych warunkach zaczęła się krystalizować świadomość pana Andrzeja Głęba, a kiedy został skazany na trzy miesiące więzienia za czytanie ulotki zredagowanej przez komunistów, wiedział już, o co będzie walczył w przyszłości. „Miałem pełną świadomość tego, że jeżeli już była ta wojna to musi się wszystko z chwilą jej zakończenia zmienić na lepsze”. Po rozgromieniu faszystów powrócił do Francji. I wtedy rozpoczął swą pracę w ośrodkach polonijnych. Wkrótce objął funkcję przewodniczącego Zarządu Okręgowego Związku Młodzieży Polskiej w Lyonie. Jego działalność znalazła tak wysokie uznanie w Centrali, że wkrótce został wysłany na przeszkolenie i przyjęty na etat pracownika Zarządu Głównego koła ZMP — „Grunwald”.

Jeździł po całej Francji. Szerzył wśród Polaków umiłowanie do częściowo już zapomnianej przez niektórych Ojczyzny, agitował do powrotu do kraju. Tłumaczył wszystkim długo i cierpliwie, że w Polsce jest teraz inaczej, że każdy, kto chce pracować, znajdzie w niej warunki do życia, że teraz w Polsce wszyscy mogą się uczyć, że nie ma co wierzyć w propagandę sianą przez ugrupowania prawicowe i że trzeba wracać, bo Ojczyzna potrzebuje ludzi, którzy dźwigną ją z gruzów. Sam miał też zamiar natychmiast po spełnieniu swej misji wrócić tam, gdzie widział dla siebie jedyne miejsce, ale bezpośrednia decyzja powrotu, została mu narzucona.

W tym czasie zaczęły się psuć stosunki między rządem francuskim a polskim. Zaczęły się prześladowania, wszystkich Polaków działających na terenie Francji na rzecz swojej Ojczyzny. Tropiono ich, chodzono im po piętach, aż wreszcie, którejś nocy zrobiono obławę. Do hotelowego pokoju, w którym zatrzymał się pan Głęb, wtargnęło w nocy kilku policjantów. Zrobiono rewizję po czym zabrali go do Paryża na przesłuchanie, które trwało trzy doby z czterogodzinnymi przerwami na odpoczynek. W więzieniu francuskim znaleźli się prócz niego wszyscy czołowi działacze organizacji polonijnych. Po trzech tygodniach oznajmiono im, że zostaną wywiezieni z Francji.

W sposób pozbawiony wszelkich skrupułów (nie pozostawiono im nawet czasu na pożegnanie się z rodziną i zabranie rzeczy osobistych) załadowano polskich działaczy do mikrobusu i wywieziono poza granice Francji. Ku zdumieniu i zaskoczeniu eskortujących policjantów, Polacy w momencie przekraczania granicy śpiewali Marsyliankę.

Dla pana Głęba zaczął się nowy okres życia i działalności.

W drodze do Polski podejmowany był wraz ze swymi towarzyszami przez szefa rządu NRD, w Polsce powitał ich osobiście Bolesław Bierut, a potem zaczęła się zwykła codzienna praca.



Fot. W. KUBICA

Od razu powierzono mu stanowisko w Zarządzie Wojewódzkim ZMP we Wrocławiu. Przyjął je nie bez wewnętrznych oporów. Jego marzeniem było pójść wtedy do szkoły i uczyć się. Liczył na to, że Ojczyzna zapewni mu prawo do nauki. Kiedy jednak nadmienił o swoich planach ówczesnemu przewodniczącemu Zarządu Głównego ZMS, ten nieomal go wyśmiał: „Kolego, z waszym doświadczeniem chcecie się uczyć? Jesteście potrzebni. Nie możecie marnować czasu na naukę”.

I to zadecydowało. Pan Andrzej Głęb znów zameldował się tam, gdzie był potrzebny.

Po kilku latach działalności w ZMP został skierowany do Międzywojewódzkiej Szkoły Partyjnej, a po odbyciu kursu został instruktorem Komitetu Dzielnicowego Partii, gdzie pracował do 1956 roku.

Od trzech lat pracuje w Politechnice. Nie zrobił może takiej kariery jak wielu jego współtowarzyszy z Francji, (jeden z nich objął nawet stanowisko ambasadora PRL), jest zwykłym sumiennym pracownikiem. Ale satysfakcję mogą Mu sprawiać słowa, w jakich wyrażają się o Nim jego koledzy z pracy, przełożeni. I to, że zawsze bronił swoich przekonań.

# JAK TWORZYĆ IDEE?

**T**ak się złożyło, że miałem okazję w małej salce kinowej klubu studenckiego „Stodoła” obejrzeć projekcję dokumentalnego filmu polskiego pt.: „Drogami czasu”.

Na małym ekranie jak w kalejdoskopie pojawiały się sceny dokumentalne z wszystkich ważniejszych wydarzeń Polski; poznajemy: najpierw rok 1945, odbudowa Warszawy, odbudowa wrocławskich uczelni, rok 1953 — śmierć Stalina, rok 1956 — październik, znowu początek lat pięćdziesiątych — budowa Nowej Huty, rok 1968 — marzec w Politechnice Warszawskiej, lata pięćdziesiąte — Zjazd Związku Młodzieży Polskiej, rok 1972 — szal studenckiego ubawu i znowu 1945 — odbudowa Warszawy... Wszystkie te na pozór chaotyczne sceny łączy z żelazną konsekwencją jedna wspólna cecha — to młodzież. Młodzież Warszawy, młodzież w Nowej Hucie, młodzież w prymitywnych salach pierwszych uczelni, młodzież na studenckim ubawie w eleganckim klubie, młodzież modnie ubrana na ulicach dzisiejszej Warszawy.

Na parkiecie studenckiego klubu tańcząca rozhukana grupa dziewcząt i chłopców, błyski reflektorów i huk muzyki, lekko rozhisteryzowane twarze, nogi i damskie buty, gustowne i eleganckie, według najnowszej mody... i nagle zwykłe zabłocone kalosze, wytarte kombinezony i prymitywne dźwięki harmoszek, zawstydzone twarze nieporadnie tańczących dziewcząt, i tłum gapiów na warszawskim podwórku. Wszyscy już poznali, że to Warszawa 1946, a narrator mówi: *w czasie przerw w odgruzowywaniu kwitło życie kulturalne*. Tym razem nikt z nas jakoś nie uśmiechnął się z ironicznym politowaniem. Po prostu zrobiło nam się bardzo głupio.

Cykl obrazów dokumentalnych jest w filmie przerywany wywiadami z ludźmi, którzy jako pokolenie młodzieży zaczęli budować Polski Ludowej, przed którymi los postawił wielką i szczytną misję do spełnienia — odbudowę Ojczyzny. Większość z nich to byli działacze ZMP, których dzisiaj trudno jeszcze zaliczyć do starszego pokolenia, choć niektórzy z nich mają włosy przyprószone siwizną. Mówią znani dziś działacze społeczni, dyrektorzy fabryk, kierownicy wielkich zakładów, mówi m.in. prof. Tadeusz Porębski — Rektor Politechniki Wrocławskiej, jednej z najnowocześniejszych uczelni w kraju. Mówią o sobie, o swoich młodzieżowych ideałach, które z uporem realizowali już w Polsce Ludowej, o ogromnych przemianach,

jakie zaszły w tym kraju na ich oczach i z ich aktywnym udziałem — przemianach, które stały się częścią najbardziej twórczych lat ich życia. Mówią też o nas, o pokoleniu „tych, co przyjdą”, zdania są rozważne i spokojne, nie ma tu potępienia w czambuł i wołania o pomstę do nieba na gruncie dykteryjek o konflikcie pokoleń (typu długie, czy krótkie włosy). Rozmowy toczą się na zupełnie innej płaszczyźnie — poważniejszej i bardziej odpowiedzialnej. Ze wszystkich zdań jednak wypływa jakiś dziwny sceptycyzm i niepokój — na pewno szczerzy i autentyczny. Nikt tu nie próbuje arbitralnie oceniać tzw. „młodego pokolenia”. I słusznie... bo przecież oni są na to chyba za młodzi, a my jeszcze za mało określani w swych postawach jako pokolenie. Ale we wszystkich wypowiedziach jak niespokojny duch kołaczę się gdzieś tam pytanie, które z żelazną konsekwencją wynika z całej konstrukcji filmu, a z drugiej strony nigdzie otwarcie nie pada w chłodnych dokumentalnych obrazach: jacy właściwie jesteśmy? Lepsi, czy gorsi? A może po prostu inni? To jedno pewne tylko że to też nie nasza zasługa, bo nasza młodość zastała ten świat już innym, lepszym, wygodniejszym, uporządkowanym.

„Wiesz co stary” — powiedział do mnie jeden z kolegów po wyjściu z sali kinowej — „czuję się trochę jakby ktoś dał mi po głbie; i co gorsze, czuję też, że na to zasłużyłem”. Chcąc na gorąco podyskutować na temat filmu przeszliśmy do następnej sali i zapadając w czarnych, ogromnych fotelach zaczęliśmy wymieniać już pierwsze refleksje... gdy wtem gdzieś w środku zrobiło mi się dziwnie nieswojo i jakoś... za wygodnie. Bo oto my — Panowie Studenci w eleganckim klubie, z lampką vermutu i paczką carmenów w kieszeni, zanurzeni po uszy w komfortowych fotelach zaczynamy się przymiarać i porównywać z tymi, którzy może dokładnie 20 lat temu siedzieli w barakach Nowej Huty ze skretami w zębach dyskutując kiedy, jak i co trzeba zrobić. Dzisiaj już nie tak często dyskutujemy na takie tematy, a jeśli już... to zaczynamy od „za ile”? Zaczęły w nas kielkować wątpliwości, czy w ogóle mamy prawo do dyskusji nad problemami relacji ocen: my, oni i świat, w którym żyjemy. Bo przecież na dobrą sprawę jeszcze nic dla tego świata nie zrobiliśmy, nic nie zdołaliśmy po sobie zostawić. A oni?... oni zostawili to wszystko, co dzisiaj zwykliśmy nazywać „standardem życia”, całe miasta, fabryki, uczelnie... i te cholerne kom-

fortowe fotele, w których właśnie siedzimy my, sami będący również produktem ich trudnej pracy wychowawczej.

Młodzież lat czterdziestych i pięćdziesiątych nie musiała wcale gorąco szukać swojej idei. Oni po prostu tę ideę zastali wchodząc w twórczy okres swego życia. Leżała ona wręcz przed nimi w postaci zwałonych domów, które trzeba było odbudować, zrujnowanych fabryk, które trzeba było uruchomić, grobów milionów rodaków, których trzeba było zastąpić przy pracy na budowach i w uczelniach. Idea ta była ogromna, na miarę silnego twórczego pokolenia.

Jeżeli już przyjmujemy, że jesteśmy w pewnym sensie upośledzeni w stosunku do tamtego pokolenia, że nie siemy w sobie dużo mniej pierwiastka twórczego, że tworzymy społeczność silnie konsumpcyjną i bezideową... to jednak, czy ktoś potrafi odpowiedzieć na pytanie, czy bylibyśmy inni znajdując się na miejscu tych z „Brotniaka”, tych z placów budów Nowej Huty z lat pięćdziesiątych? Czy nie wypełnilibyśmy tak samo tych twórczych zadań odbudowy kraju, czy w trudnych momentach nie stać by nas było na zapał, energię, entuzjazm? Ludzie, którzy tworzą tzw. starszą i średnią generację w naszym kraju stworzyli w swej pracy niemal to wszystko, co my już zastaliśmy.

Jesteśmy pokoleniem zdrowym i wykształconym, ale jednocześnie... bezbarwnym w porównaniu z tymi, których mamy zastępować. Sądę, że wypada zastanowić się na ile wzrost stopy życiowej, standardu życia każdego obywatela jest mierzony wykształceniem się postaw mocno konsumpcyjnych i bezideowych? Że takie zjawisko istnieje — wiemy o tym wszyscy aż za dobrze. Ale czy jest ono nieuniknione, czy przebiega w sposób obiektywny (tzn. bez względu na podmiot, czy na nas), czy też jest wyraźnie zdezterminowane jakością naszego pokolenia? W tym drugim przypadku trzeba by zrobić gruntowny rachunek sumienia. Bardzo trudno jest kłaść na szalę z jednej strony to, co zostało w naszym kraju zrobione do dzisiaj przez starsze pokolenie — z drugiej zaś to, co zrobione przez nas nie zostanie i to tylko z tego powodu, że ktoś zrobił to przed nami. Te dwie sprawy nie przystają do siebie! Ich porównywanie jest niemal nieuczciwe. Ale czy jest to z drugiej strony przyczynek do pozytywnej oceny naszego pokolenia? Na pewno nie. Faktem przecież jest, że nie mamy ide-



alów, ani żadnej idei, która wyleczyła-  
by nas z naszego komercjalizmu ży-  
ciowego, która pchnęłaby nasze poko-  
lenie na bardziej ogólnospołeczne tory  
myślenia. Nie może być dla nas uspra-  
wiedliwieniem fakt, że jest nam trud-  
niej zaktywizować środowisko, które  
więcej „ma” niż „nie ma”. Cóż więc  
robić?

Odpowiadam: stworzyć ideę! Już w  
tej chwili słyszę zarzuty pod swoim  
adresem: „jak to stary, przecież cele  
do jakich dąży nasze społeczeństwo zo-  
stały jasno określone”! Oczywiście,  
tylko że są one pewnymi ogólnymi za-  
łożeńiami rozwoju kraju tkwiącymi po  
uszy w uwarunkowaniach gospodar-  
czych i politycznych, w zaplanowanych  
realiach naszego życia wypranych z  
natury rzeczy z wszelkich znamion  
spontaniczności i ludzkiego entuzjazmu.  
Nam, młodym ludziom trzeba idei-ha-  
sła aktywizującego środowisko w spo-  
sób autentyczny, jak złoty róg z dra-  
matu Wyspiańskiego. Czy rzeczywiście  
my Polacy musimy być w jarzmie nie-  
woli, lub stać nad zgłiszczami naszych  
domów, by budziła się dopiero w nas  
ta historyczna siła, idea, z którą potra-  
fimy w kilka lat odbudowywać milio-  
nowe miasta? Czy rzeczywiście zostało  
w naszym kraju już tak mało do zro-  
bienia, że trudno stworzyć z tego kon-  
kretny cel działania aktywizujący mło-  
dych ludzi, pobudzający ambicję nasze-  
go pokolenia? Trzeba sobie zdać spra-  
wę, że stworzenie idei mocno atrakcyj-  
nej w dzisiejszych realiach jest bardzo  
trudne. Eksplozja cywilizacji ma to do  
siebie, że życie społeczeństwa zaczyna  
się toczyć dynamicznie na bardzo wie-  
lu różnych płaszczyznach. Dlatego też  
stworzenie idei generalnej jako okre-  
ślonego celu życia młodego pokolenia,  
przy jednoczesnym zachowaniu jego  
atrakcyjności jest rzeczywiście trudne,  
tym bardziej, że pojawia się tu natych-  
miast problem natury moralnej: Czy  
będziemy uczciwi wobec samych siebie  
i wobec środowiska tworząc ideę niejako  
dla niej samej? Ideę na zapotrzebowa-  
nie... teoretycznie? Wątpliwości, te  
eliminują praktycznie możliwość zakt-  
tywizowania środowiska młodzieży przez  
stworzenie generalnej idei działania.  
Cóż więc zrobić? Zrezygnować z idei w  
ogóle? To wyjście też by było nieuczci-  
we wobec nas samych.

Węzeł ten wbrew pozorom nie jest  
węzłem gordyjskim. Rozwiązanie, któ-  
re chciałbym tu zaproponować wynika  
z pewnego logicznego ciągu myślowego,  
co jednak wcale nie oznacza iż na pew-  
no zda ono egzamin. Wydaje się, iż  
wyjść tu trzeba od następującego  
stwierdzenia: jeżeli w jakimkolwiek  
środowisku jakaś myśl ma funkcyjno-  
wać na prawach idei, celu działania —  
to musi być autentyczna. Jej autentyzm  
z kolei musi wynikać bezpośrednio z  
maksymalnej identyfikacji z nią wszy-  
stkich członków określonej społeczno-  
ści, (np. młodych ludzi). W sytuacji, o  
której mowa jedynym desygnatem po-  
jęcia identyfikacji może być poczucie  
bliskości danej idei, jej głębokie zrozu-  
mienie i możliwość przetłumaczenia na  
język pojęć namacalnych i codziennych,  
a co za tym idzie dostrzeganie konkret-  
nych możliwości uczestnictwa w jej  
realizacji. Aby do tego doprowadzić,  
należy dokonać czegoś w rodzaju de-  
kompozycji idei ogólnych, generalnie  
wytyczających kierunki społeczno-po-  
litycznego i gospodarczego rozwoju  
kraju. Przepraszam za bardzo matema-  
tyczne określenie, ale sądzę, że najle-  
piej oddaje ono metodę postępowania.

Oczywistym jest, że wyróżnienie pew-  
nych „subidei” dla każdej grupy spo-  
łecznej, czy nawet dla każdego środo-  
wiska nie może oznaczać wyeliminowa-  
nia poczucia świadomości pewnych  
celów nadrzędnych, niemniej jednak  
nie powinny one być lansowane w sy-  
stemie propagandowym i polityczno-  
wychowawczym jako cele same w so-  
bie, lecz jako pewne tło, płaszczyzna  
realizacji tych „subidei” środowisko-  
wych dobrze rozumianych i silnie ak-  
ceptowanych przez dane środowisko.  
One właśnie powinny być bowiem lan-  
sowane jako zasadnicze wśród danej  
społeczności i stanowić zasadniczą treść  
wszelkiego działania. Działanie na  
przykład na rzecz osiągnięcia celów  
ważnych konkretnie dla środowiska  
młodzieży i w imię jego interesów po-  
winno nas uszczec przed sytuacjami, że  
zapatrzeni w ogólne cele działania  
stwierdzamy nagle, że właściwie jeśli  
chodzi o nasze środowisko... „to nasze  
jutro zaczęło się przedwcześnie”.

Żeby nie być gołosłownym chciałbym  
podać przykład realizacji powyższych  
postulatów w praktyce. W przypadku  
środowiska nam najbliższego, tzn. śro-  
dowiska młodzieży studenckiej przykła-  
dem takiej „subidei”, jaką można po-  
stawić przed studentami jest po pros-  
tu... Uczelnia, jej poziom i jakość, stop-  
ień nowoczesności, optymalność wa-  
runków kształcenia, efektywność tego  
kształcenia itp. Jeśli bowiem wszyscy  
studenci złączą się w pełni identyfiko-  
wać ze swoją Uczelnią, jeśli jej cele  
staną się ich celami, jeśli będzie im  
wszystkiem zależało na jej wysokiej ja-  
kości, nowoczesności, i sławie, to taka  
Uczelnia ma szansę w krótkim czasie  
stać się ogromnie wartościową, z czego  
skorzystają wszyscy, począwszy od stu-  
dentów, a skończywszy na kraju jako  
takim. Płaszczyzną realizacji tej idei  
jest program naszej organizacji SZSP,  
z całym wachlarzem postulatów co do  
samorządności studentów, ich udziału  
w życiu szkoły i w pracach naukowo-  
badawczych. Wydaje mi się, że warunki  
do takiej identyfikacji studentów z  
ambicjami uczelni zostały stworzone w  
Politechnice Wrocławskiej. Niemal  
wszystkie decyzje, które w ostatnich

latach zrobiły z tej Uczelni szkołę au-  
tentycznie nowoczesną — były podej-  
mowane przy szerokiej konsultacji ze  
studentami. Przykładem sprawy, która  
może z powodzeniem funkcjonować ja-  
ko idea środowiska studentów Poli-  
techniki, jest zainicjowana ostatnio  
przez władze Uczelni dyskusja nad no-  
wym modelem dydaktycznym Szkoły,  
nad propozycjami modelowania Uni-  
wersytetu Technicznego w Politechni-  
ce Wrocławskiej. Niewątpliwie jest to  
idea mogąca poderwać całe środowisko  
do dyskusji, uwag i polemik i wreszcie  
do samej realizacji. Wszystkie propo-  
zycje w ramach dyskutowanego mode-  
lu są ogromne śmiałe i atrakcyjne, a  
przecież właśnie tego potrzeba nam —  
młodym ludziom. Aktywnego uczest-  
nictwa w konstruktywnych, jak najda-  
lej idących zmianach na lepsze. Zmia-  
nach w naszym najbliższym otoczeniu,  
wokół nas samych, nie czekając, aż po  
latach objawią się one podniesieniem  
jakiegś tam krzywej.

Czy wszystko to stwarza szansę roz-  
wiązania problemu bezideowości nasze-  
go pokolenia? Chyba tak, chociaż nikt  
się nie podejmie bardziej dokładnego  
oszacowania tych szans. Jeżeli jednak  
takie szanse istnieją, jeżeli są jeszcze  
jakieś możliwości zaktywizowania na-  
szego środowiska, to mozołnym naszym  
obowiązkiem wobec następnych poko-  
leń jest podjęcie takiej próby. Co bę-  
dzie, gdy jej nie podejmiemy?

Na ekranie w czasie projekcji filmu  
„Drogami czasu” starszy człowiek, pi-  
sarz, leżąc na leżaku rozmawia swo-  
bodnie ze swoją córką, studentką Uni-  
wersytetu: *wiesz mamo — mówi — ja  
naprawdę nie mam żadnych pretensji  
do waszego pokolenia, ja po prostu jak  
na was patrzę, to mam cholernego piet-  
ra, że gdy my już wywinie my orła, to  
każdy z was zajmując nasze miejsca  
okaże się za miękki. Boję się, że nie  
będziecie zdolni zająć określonych  
twardych postaw. Zawsze chcieliście  
dużo brać od życia, a nic nie dawać.  
Nie umiecie i nie chcecie stawiać przed  
sobą jasnych celów działania... i dlate-  
tego życie może was połamać!*

Pozostawiam bez komentarzy.

TOMASZ WIELICKI

Fot. E. VOGT



# KLUB-JUBILAT



**W** dniu 18 czerwca 1973 r. odbyły się uroczystości związane z obchodami XX-lecia Klubu pracowników Politechniki Wrocławskiej, zorganizowane przez Prezydium Rady Zakładowej i Radę Klubu. Program uroczystości obejmował część oficjalną, część artystyczną oraz spotkanie przy lampce wina. W części oficjalnej głos kolejno zabrali: prof. Wiktor Wiśniowski, Zofia Babińska i Irena Michejda, którzy zapoznali zaproszonych na uroczystość gości z historią Klubu.

Przez 20 lat opiekę nad Klubem sprawowała Rada Zakładowa. Inicjatorem założenia Klubu był prof. Lewicki, ówczesny prezes Rady Zakładowej. Sprawą tą zajęła się Komisja Socjalno-Bytowa RZ, której przewodniczącym był prof. Wiktor Wiśniowski. Kierownictwo Klubu powierzono Zofii Babińskiej. Przez 10 lat z wielkim zaangażowaniem dbała ona o prawidłowy rozwój Klubu i jego działalność. W okresie tym główny nacisk położono na propagowanie i rozwój kultury muzycznej. Organizowano koncerty muzyki poważnej, poprzedzane prelekcjami, uczącymi właściwego odbioru muzyki. Staranny dobór repertuaru muzyki i troska o dobrych wykonawców sprawiły, że koncerty odbywające się w auli Politechniki Wrocławskiej cieszyły się olbrzymią popularnością wśród pracowników, studentów, a także osób spoza Uczelni. Wśród wykonawców znaleźli się między innymi: Halina Czerny-Stefańska, Barbara Hesse-Bukowska, Stefania Woytowicz, Wanda Wilkomirska, Adam Harasiewicz, Bernard Ładysz i Piotr Lewicki. Aula Politechniki stała się największą salą koncertową we Wrocławiu, znaną w całym kraju i stanowiącą szkołę słuchania muzyki poważnej. W dniu 9.I.1954 r. odbył się 50-ty, jubileuszowy koncert, a liczba słucha-

nim także odbywały się turnieje brydżowe i turnieje kanasty.

W r. 1963 kierownictwo Klubu objęła Irena Michejda. Ten okres działalności Klubu charakteryzował się troską o dostarczenie pracownikom właściwej rozrywki. W Klubie często gościli piosenkarze, kabarety, organizowano spotkania z poetami i pisarzami. W każdą sobotę odbywały się wieczorki taneczne, a bale sylwestrowe i karnawałowe cieszyły się liczną frekwencją. Klub wzbogacił się o nowe pomieszczenia, w których organizowano wystawy malarstwa, grafiki i rzeźby. Wystawiano prace artystów środowiska wrocławskiego, które budziły liczne dyskusje, a równocześnie działały wychowawczo. Nadal prowadzono bufet i czytelną czasopism, zorganizowano filie Klubu, mieszczące się w różnych budynkach Politechniki.

W r. 1972 kierowniczką Klubu została Ewa Marderwald, a po Jej przejściu do innej pracy — Bożena Markowska. Klub nadal kontynuuje różnorodną działalność, tym razem pod opieką Dyrekcji Pionu d/s Socjalnych i przy ścisłej współpracy z Radą Klubu, powołaną przez Prezydium RZ.

XX-lecie Klubu jest okazją nie tylko podsumowania dotychczasowych osiągnięć, ale również złożenia podziękowań pracownikom Klubu i działaczom społecznym współpracującym z jego kierownictwem.

Uroczystość XX-lecia Klubu była miłą imprezą kulturalno-rozrywkową. W części artystycznej wystąpił redaktor Andrzej Waligórski, przedstawiając ze swego punktu widzenia historię wrocławskiego Klubu Politechniki i bufetu. Kabaret „Elita”, składający się w większości z absolwentów Politechniki Wrocławskiej, w godzinnym występie zaprezentował wiele ciekawych piosenek i humorystyczno-satyrycznych opowiadań.

Na zakończenie odbyło się spotkanie przy lampce wina, na którym prezes Rady Zakładowej doc. dr inż. Henryk Zebrowski wręczył dyplom uznania i upominki najbardziej zasłużonym pracownikom Klubu.

Fot. R. MAKOWSKI







Fot. R. MAKOWSKI



Z okazji 20-lecia klubu, redakcja „Sigmy” zwróciła się do Pani Lidki — szefa szefów Rady Zakładowej z prośbą o wywiad.

— Ilu ich było?  
— Przetrzymałam trzech:  
Tolka  
Fredka  
i Genia  
a czy przetrzymam Henia — to się okaże.

— Jacy byli?  
— Tolek — jak Tolek  
Fredka — szybki Bill  
Genio — aksamitny.  
— A Henio?  
— Henio, ... to najchętniej usłyszałby o sobiście zresztą.

— Gdzie bywali, co jadali?  
— Najchętniej w Klubie Jubilacie, który jak piękna kobieta kwitł i rozrastał pod ich opiekuńczym okiem.

— Wobec tego co dla niego zrobili?  
— Tolek — założył  
Fredka — rozmnożył  
Genio — eksperymentował  
Henio — sprzedał.

— Z pewnością kogoś tam adorowali?  
— Tolek — panią Zosię  
Fredka — panią Irenę  
Genio — panią Ewę  
Henio — panią Bożenę.

— Czy robili to ze znajomością rzeczy?  
— Chyba tak bo:  
Tolek — z nonszalancją  
Fredka — z marsem na twarzy  
Genio — z gracją  
Henio — z zakłopotaniem.

— A czym ich tam czarowano?  
— Tolka — muzyką  
Fredka — „Michejdzinkami”  
Genia — ikebana  
Henia — cukrem w kostkach,  
a wszystkich razem dobrym śniadaniem.

— Przysłowie mówi, że Polak jak głodny to zły, jacy wobec tego bywali przed śniadaniem?

— Tolek — jak typowy Polak  
Fredka — ponad wszystko  
Genio — spokojny  
Henio — nieokreślony.

— Czy przed nikim nie czuli respektu?  
— Ależ oczywiście, bali się tylko mnie i wtedy:

Tolek — mówił basem  
Fredka — kipiał  
Genio — unikał  
Henio — dobrodusznie się uśmiecha.

— A jacy byli w pełnej gali?

— Tolek — władczy  
Fredka — pryncypialny  
Genio — uroczy

— A Rada co im zawdzięcza?

— Tolek — organizował  
Fredka — kontynuował  
Genio — administrował  
Henio — tonował.

— Kogo mieli na uwadze w swojej działalności?

— Tolek — określone kręgi  
Fredka — potomność  
Genio — środowisko  
Henio — ludzi.

— Dlaczego złożyli urząd?

— Tolek — zachorował  
Fredka — awansował



Genio — abdykował  
Henio — trwa na posterunku.

Dziękujemy — to właśnie to, co pragnęliśmy usłyszeć. Życzymy powodzenia w „szefach” i prosimy o dyskrecję, gdyż w przeciwnym wypadku biedna „Sigma” do końca swego istnienia nie dostanie skierowania na wczaasy.

M.

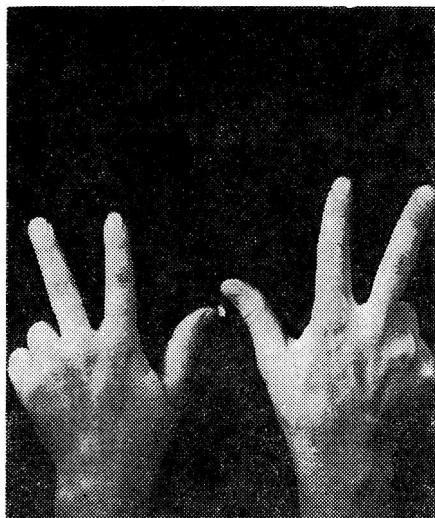


Henio — zasadniczy.





# my awangarda



**B**ierutowice 1973. W zielonożółty o tej porze roku krajobraz górski powplatane nowe elementy dekoracyjne. Na okolicznych drzewach i słupach plansze firmowe SZSP i plakaty — dużo plakatów. Wszystkie świadczą wymownie o ogromnym zaangażowaniu osobistym „plastycznej grupy szturmowej”. „KOCZAM KOMENDANTA”, „A JA SIĘ ROZMNORZE”, „PROSZEK E WSZYSTKO ŻRE” — koślawe literki oznajmują wciąż nowe rewelacje.

Największą są jednak sami studenci. Mieszkańcy tych okolic dawno nie przeżyli takiej inwazji „splakietkowanych”. Tegoroczna Letnia Szkoła Aktywu organizowana pod patronatem Zarządu Wojewódzkiego SZSP skupia 300 uczestników. Podzielono ich na trzy podboje: „Rok Zerowy”, „Grupy Działania” i „Studencką Wszechnicę Dziennikarską”. Jesteśmy w tej trzeciej. Obóz zaczyna się w niedzielę. Na powitanie wciskają nam do ręki plakietki SZSP i grube teczki pełne programów i deklaracji. Zwłaszcza plakietka — jak pokaże to najbliższa

przyszłość — stanie się rzeczą niezwykle cenną i odgrywającą niepoślednią rolę w życiu obozowym. Stanowiąc będzie ona coś w rodzaju karty wstępu na stołówkę. Bez plakietki nie wejdziesz.

Życie na obozie ma swój rytuał: 7.15 — pobudka, 7.30 — gimnastyka poranna, 8.00 — śniadanie, 9.00 — apel, 9.30 — zajęcia programowe, 13.00 — obiad, 14.30 — zajęcia programowe, 18.00 — kolacja, 19.00 — rozrywki kulturalne, 24.00 — cisza nocna.

Wszechnica jako pierwsza łamie reguły gry. Nie stawia się w komplecie na gimnastykę poranną. Na apelu nagany i upomnienia. W poniedziałek i we wtorek mamy luz. Nie przyjechali zamówieni prelegenci. Inne podboje patrzą na nas z nieukrywana zazdrością. Oni jeszcze nie wiedzą, że kazali nam zbierać w tym czasie materiały do wkładki w „Nowinach Jeleniogórskich”.

Wydreptujemy beznadziejnie drogę Bierutowice — Karpacz, zaczepiamy bezbronnymi turystów, wpychamy się na zaplecza tutejszych garkuchni i zwracamy głowę pani przewodniczącej Karpacza. Co sprytniejsi idą na kompromis między swym „dziennikarskim” sumieniem a żołądkiem. Plony niezbyt obficie.

W środę pierwsze spotkanie — z redakcją „Studenta”. Nastroje nieco wojownicze. Redakcja ta zapisała się swojego czasu w niewdzięcznej pamięci Wszechnicy Dziennikarskiej, więc teraz wszyscy robią wszystko żeby się odgryźć. „Czy to prawda, że nazwa „Student” ma być zmieniona na „Docent”?”. „Czy to prawda, że macie największą ilość zwrotów w Polsce?”. „Czy to prawda, że uważacie siebie za elitę?”. Za plecami słyszę złowrogi pomruk: „A ja uważam, że „Student” to największy szmatławiec, nigdy go nie wzięłam do ręki i nigdy nie wezmę”.

Teraz odwet biorą ci ze „Studenta”. Pada jedno kłopotliwe pytanie: „Czy jest ktoś na tej sali, kto w ciągu trzech ostatnich miesięcy czytał nasze pismo?”. Robi się cicho. Reszta jest milczeniem.

Czwartek przynosi spotkanie z Redaktorem Naczelnym „Gazety Robotniczej” i drugie pytanie z gatunku kłopotliwych. „Co Was interesuje?”. Chwila zaskoczenia a potem ktoś przytomny ratuje sytuację: „To może my poprosimy o krótkie wprowadzenie a potem zaczniemy dyskusję”. Minuty płyną nieubłagane. Wreszcie nadchodzi chwila kiedy trzeba zacząć pytać. „Jak wyglądają stawki plac w „Gazecie?”. „Ile jest wolnych etatów w redakcji?”. „O czym nie wolno teraz pisać?”. My awangarda chcemy mieć dużo, dużo pieniędzy, chcemy, żeby jak najszybciej przydzielili nam etaty w redakcjach, palimy się do pisania, a że nasze artykuły nie oglądają światła dziennego — wszystkiemu winna cenzura!

Umocnieni w poczuciu własnej wartości udajemy się na zasłużony obiad.

Po południu spotkanie z władzami Centralnymi i Wojewódzkimi RSW Prasa. Zaczyna się od miłego poletywności śledzion. Dowiadujemy się, że jesteśmy nadzieją, wszyscy na nas liczą i co roku oczekuje na nas trzysta etatów w redakcjach całej Polski, pod warunkiem, że śmiertelność wśród starej kadry nie jest niższa od przeciętnej. Robi się przyjemnie i ciepło. Pytania zaczynają się sypać jak z samograj.

„Ile zarobimy”. „Ile jest dla nas miejsc w redakcjach dolnośląskich?”. Tak, możemy być z siebie w pełni zadowoleni.

Do końca obozu tylko jeden pełny dzień — piątek. Inne podboje zostają jeszcze tydzień, Wszechnica musi ustąpić miejsca dziennikarzom z ASR-u. Podobno nie przydzielono nam więcej funduszy i z tego powodu szkolenie nasze jest nieco okrojone czasowo.

Wieczorem oficjalne pożegnanie. Podsumowanie optymistyczno-pesymistyczne — w sumie nijakie. Ktoś nieśmiało wysuwa propozycję, żeby do cyklu szkolenia Studenckiej Wszechnicy Dziennikarskiej, dołączyć elementy wiedzy o świecie, zrobić kilka dodatkowych szkoleń. Zostaje zagłuszony.

W sobotę Wszechnica Dziennikarska opuszcza obóz. Z pokoju red. A. B. z Gazety Robotniczej dochodzą żalose odgłosy postukiwania na maszynie. Męczy się biedak nad sfabrykowaniem rozsądnych artykułów z naszych rewelacyjnych materiałów.

„W iskrach krzesaniu żywem —  
material to rzecz główna  
Trudno najteższym krzesiwem  
wykrzesać iskry z substancji  
miękkiej a podatnej”  
— powiedział kiedyś Boy.

Niech się inni męczą. My Awangarda — wyjeżdżamy.

MALGORZATA MICHALAK

## DEBIUT

### Strach

Pieniądz  
kołem toczony  
na drodze wozów.  
A pod rynną  
to tylko deszcz  
i nie wejdziesz w dom  
bo drzwi choć otwarte  
to na progu  
nawet pies  
nie chce leżeć  
i kot z dachu  
pada na grzbiecie.  
— Mówią —  
niebo puste —  
a tam jest tłok  
że gwiazdy spadają  
na bruk  
jak nieproszeni goście.

### Bariera

Ostrożnie zataczamy kręgi  
gestów, uśmiechów.  
Cieniem przechodzimy  
— obok marzeń.  
Na krawędzi słów  
— milczymy.  
Czy zdążymy — — —  
zanim dopełnimy całość.

\*\*\*

Na Łysej Górze  
tańczą oberka.  
Ja — stara wiedźma  
i szatan druh.  
Za twe kochanie —  
za me pisanie —  
zrób mi dzieciątko,  
Diabłątko zrób.

ZDZISŁAWA MARIANNA DUDEK



## opinie

### PRZED SKOKIEM TYGRYSA CZYLI CO DALEJ Z TĄ FIZYKĄ

W rubryce tej publikujemy opinie Czytelników o sprawach drobnych i wielkich. Zamieszczone tu materiały nie zawsze będą się pokrywały ze stanowiskiem redakcji, ale naszym zdaniem powinny stanowić platformę do dyskusji dla PT Czytelników.

Redakcja

## Piotr Pleniewicz

○ roli fizyki w procesie dydaktycznym mówi się wiele, zwłaszcza teraz, kiedy czeka nas mała operacja, którą prywatnie pozwoliłem sobie nazwać skokiem tygrysa. Fizyka i jej nauczanie jest jedną z osi dyskusji. Mimo jednak prawdziwego zalewu informacji na temat tego co nas czeka, trudno jest jeszcze pośród wielu poplątanych nitk prowadzących do optymalnego rozwiązania dojrzeć tę nitkę właściwą. W tym jakby specjalnie, złośliwie i dokładnie zagmatwanym problemie wiele przyczyn może wywołać jeden skutek a wiele skutków ma tę samą przyczynę. Dlatego też ja, znany gaduła, z duszą na ramieniu przystępuję do podzielenia się moimi przemyśleniami zdając sobie doskonale sprawę z tego, że stojąc na uboczu wielkich, anonimowych spraw, wyrывая sobie włosy z głowy z rozpaczą, że nic się nie rozumie, można nie tylko stać się lysym jak kolano, ale też popełnić wiele krzywdzących błędów w ocenie całości. Jednak wiele aspektów obecnej i przyszłej rzeczywistości wydaje mi się niezaprzeczalnymi prawdami — tak jasnymi i klarownymi, że warto się nimi przez chwilę zająć.

W moim skromnym przekonaniu fizykę w naszej Uczelni traktowało się dotąd jak zdzieciniałego staruszka: tolerowało jej istnienie i dziwactwa, karcilo za humory i... z premedytacją unikało. Dlaczego tak się działo? Patrząc na kolejne modele dydaktyczne, zarówno uczelniane jak i ogólnopństwowe, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że w tych z móżdżem wznoszonych gmachach, mających w przekonaniu budowniczych stanowić pomniki naszej przebiegłości i zaradności — fizyka, przedmiot bądź co bądź podstawowy — znajduje się coraz bliżej strychu. Dla-

czego tę piękną przecież naukę przyłkamy z obrzydzeniem jak owsiankę na śniadanie, pozostając w przekonaniu że to zdrowe — ale nie starając się znaleźć w tym za grosz przyjemności? Czy wina leży po stronie kucharzy, którzy serwują ciężki do strawienia pokarm, czy po stronie klientów, którzy nie bardzo wiedzą co zamawiać? Jest rzeczą oczywistą, że pomiędzy kuchnią i salą konsumpcyjną musi istnieć wzajemne porozumienie. Jeżeli klient, dajmy na to, w miejscu zbiorowego żywienia znajdzie np. muchę w zupie i wyrazi swoje niezadowolone z tego faktu kelnerowi ten, jeżeli tylko będzie w dobrym humorze, zabierze najprawdopodobniej talerz za parawanik i za chwilę przyniesie zupę strzepując za plecami muchę, która będąc mokrą przylepiła mu się do palców. My oczywiście nie powinniśmy brać z niego przykładu ale działać lepiej. Tymczasem pierwszą rzeczą jaką rzuca się w oczy, gdy obserwuje się współdziałanie fizyki z poszczególnymi wydziałami — to absolutny brak kontaktów między partnerami i wzajemna niechęć, poparta brakiem dobrej woli do wyjmowania sobie właśnie takich much z zup.

W lutym br. odbyła się Konferencja Dydaktyczna Instytutu Fizyki Technicznej poświęcona między innymi (w przekonaniu uczestników) dalszemu rozwojowi dydaktyki. W burzliwych momentami obradach brali udział pracownicy samego Instytutu kisząc się poniekąd we własnym sosie a dyskusje dotyczyły się często obok aktualnie pożądanymi i pilnymi tematami, gdyż do rozmów brakowało partnerów.

Pretensji do działalności IFT jest dużo ale dlaczego nikt, kierowany chociażby poczuciem litości, nie przybył aby pomóc znajdującym się na roz-

drożu fizykom? Sądzę, że jeszcze ciągle pokutuje w nas ślepa wiara w nieugiętą i czarowną moc urzędowych papierków. (Całkowicie pokładanie w nich nadziei wydaje mi się nie tylko niesamowicie niebezpieczne ale też zupełnie nie na miejscu). Suche druczki z poleceniami i dyrektywami, odmowne odpowiedzi z mniej lub bardziej wiarygodnymi uzasadnieniami niemożności stosowania się do zaleceń krążą po uczelni jak błędne ogniki, na próżno usiłując wyświetlić chociażby cząstkę prawdy. Dlaczego każdy z przeciwników, uzbrojonych w kopie obojętności, (przeciwników, którzy nie mogą zrozumieć, że są partnerami w tej samej grze), z filozoficznym spokojem wygrywa na coraz to nowych urzędowych instrumentach i usiłuje wpoić w siebie pewność, że ten drugi zatańczy wreszcie tak jak się gra. W tym upiornym tańcu i pokerowej atmosferze wzrasta chaos i zamieszanie. Brak koordynacji między fizyką a pokrewnymi przedmiotami przekroczył już dawno na niektórych wydziałach poziom krytyczny i cała zabawa w przeciąganie liny stała się niezwykle szkodziwa. I tak jak to w życiu zwykle bywa cierpią na tym ci trzeci: bogu ducha winni studenci. Poza tym ta doskonale zorganizowana wojna polityczna, walka o godziny i kompetencje, wzajemne ustępstwa i uniki, nagminne stosowanie parkinsonowskiej zasady OPZ (odmowa przez zwłokę), działania pozorowane — mające na celu zmylenie przeciwnika — doprowadziły do tego, że na niektórych kierunkach zajęcia z fizyki, mimo najlepszych chęci, przypominają groteskowe dziwolagi, które co jak co, ale fizyki nigdy nie będą w stanie nauczyć. I trudno chyba poważnie myśleć o budowie skomplikowanych systemów dydaktycznych bez wzajemnego dialogu, bez poznania możliwości i określenia roli poszczególnych przedmiotów (a matematyki i fizyki w szczególności) i ciągłej SZYBKIEJ korekcji ich działania, w zależności od aktualnych potrzeb.

Nauka idzie naprzód (można zaryzykować nawet twierdzenie, że galopuje, ale to trochę zbyt frywolne określenie jak na tę dostojną panią) i obawiam się, że czyniła to zawsze, niezależnie od przyjętego przez nas modelu dydaktycznego. Nowe metody dydaktyczne mają za zadanie jedynie usprawnić przekazywanie wiedzy aby dostosować się do tempa rozwoju i nie pozostać zbyt daleko w tyle. Jak ciężki haracz płaci się czasami za wprowadzenie nowych metod nauczania, można się przekonać na przykładzie IFT. Wprowadzenie techniki telewizyjnej do Dużej Sali Wykładowej IFT spowodowało to, iż na skutek potrzeby wielu prób z nowymi wykładami w celu odpowiedniego ich wyreżyserowania, nieuprzywilejowane wydziały muszą wysłuchiwać wykładów z fizyki w innej sali, gdzie z powodu trudności technicznych nie pokazuje się demonstracji nawet w dawnej formie. Jeżeli już jesteśmy przy wykładach to chciałbym wspomnieć o jeszcze jednej rzeczy, która — moim zdaniem — w obecnej formie też stanowi poważne obciążenie. Nie muszę chyba wspominać o potrzebie uelastycznienia wykładów na wszelkiego typu humory i tendencje nauki, o potrzebie jak najszybszego uwzględniania w treści wykładu wszystkich nowych prądów i modeli teoretycznych.

Tymczasem my, zamiast działać w tym właśnie kierunku między innymi pisaaliśmy skrypty z zapalem godnym lepszej sprawy. (Wiem, że na uczelniach zachodnich skrypty są w coraz to powszechniejszym użyciu, ale pozwólcie mi proszę, wypowiedzieć się do końca i przytoczyć pewne, istotne moim zdaniem racje). Wprawdzie od czasów kiedy mnichowie ślęczeli latami nad przepisywanymi z móżolem gęsimi piórami traktatami filozoficznymi, technika powielania informacji posunęła się zauważalnie naprzód, lecz cykl produkcji — tego co nazywamy dzisiaj skryptem — niewiele odbiega prawdopodobnie od norm pracy drukarskiej w średniowieczu. Być może przyczyny takiego stanu rzeczy mają charakter na wskroś obiektywny ale fakt pozostaje faktem. I wykładowca aby zapisać swą i cudzą wiedzę taką jaką jest w stanie przekazać studentowi w formie skryptu potrzebuje lat z okładem czterech. W efekcie skrypt zanim jeszcze zdąży obesznać — przestaje być aktualny. A mimo to ogromnym nakładem kosztów i pracy jest honorowany niemal na równi z rękopisami Einsteina i z równą pieczołowitością powielany. I dużo wody jeszcze upłynie w Odrze obok Gmachu Politechniki zanim ktoś następny, narażając się na poważne konsekwencje natury towarzyskiej, nie przeforsuje pomysłu napisania nowego skryptu i nie przystąpi do realizacji tego zamiaru. Większość uczelni zachodnich bazuje na indywidualnych programach i tam ukazują się w formie skryptów wykłady, które bardzo często są potem drukowane już jako książki i rozprowadzane po całym niemal świecie.

W ślad za, jak już się rzekło, galopującą naprzód nauką kuśtyka nasza technika. Dosyć zasadniczą rolę w przygotowaniu przyszłego inżyniera na jej spotkanie mają spełniać laboratoria. O roli laboratorium fizyki piszę niechętnie, bo wśród fizyków co do tej kwestii zdania są podzielone, a nie chcę podkładać głowy pod topór dla błahych powodów. Ale można powiedzieć najogólniej, że studenci powinni, odwiedzając to laboratorium, nabrać tam jako takich nawyków stosowania w praktyce teoretycznej wiedzy wyniesionej z wykładów i zaznajomić się z fizycznymi zasadami działania rozmaitych czarnych skrzynek, z których elementami czy wariantami spotkają się na dalszym etapie swojej edukacji. Z tych też względów rosną wymagania co do poziomu ćwiczeń laboratoryjnych w pracowni fizycznej, a jej kierownictwo nieustannie jest molestowane o ciągły rozwój i unowocześnianie stanowisk.

Oczywiście krocząc naprzód nie należy ograniczać się jedynie do spoglądania **wstecz**, chociażby z tej prostej przyczyny, że można się potknąć i dotkliwie potłuc o to **co leży** na drodze pod nogami. **Stąpając naprzód** drogą pełną zasadzek i ukrytych niebezpieczeństw musimy uważnie **patrzeć** w przyszłość. Ale czy aby widzimy ją dokładnie? Nie możemy w zasadzie nic powiedzieć, albo raczej potrafimy powiedzieć bardzo niewiele na temat tego, co spotka naszego absolwenta za lat dziesięć czy piętnaście. Naprawdę ciężko jest przewidzieć czy wychowany przez nas inżynier mechanik będzie zatrudniony przy produkcji seryjnej towarowych rakiet mających kursować między Wenus a Neptunem, czy też znajdzie sobie ciepłą posadkę w biurze projektowym reaktorów atomowych.

(Oczywiście bez znajomości zasad działania napędu rakietowego czy reakcji jądrowych, skutki jego działalności będą oplakane). Można być pesymistą i założyć, że np. nasi przyszli inżynierowie będą trudnić się rozwiązywaniem problemu zastąpienia urzędnika służącego do przekładania zwrotnic tramwajowych — zwanego popularnie wajchą — jakimś nowocześniejszym, ale również niezawodnie działającym urządzeniem, czy też będą parać się zagadnieniem boilerów. Oczywiście w przewidywaniu przyszłości wyprodukowanego przez nas inżyniera można pójść o wiele dalej i zastanawiać się czy będzie on budował mosty względnie tunele pod koleje transkontynentalne czy wszystko szlag trafi i organizując wyprawę w poszukiwaniu korzonków na śniadanie będzie zmuszony przerzucić kładkę przez śmierdzącą rzeczulkę zatrutą przez samounicesciwioną cywilizację. Ale skrajny pesymista jest na ogół uważany za skrajnego idiota, więc zostawmy te rozważania. Lecz nawet patrząc w przyszłość

przez różowe okulary (co wcale nie znaczy, że musimy mieć wzrok zamglony przez euforię) możemy wymyślać cały wachlarz różnych możliwości, których nie jesteśmy w stanie przewidzieć, a które czekają naszego absolwenta.

Jest jeszcze jedno niebezpieczeństwo przy przewidywaniu przyszłości, które może prowadzić do pokaźnych pomyłek. Jeżeli przyjrzyć się rozwojowi cywilizacji nasuwa się wniosek, że mentalność żadnego pokolenia nie dorosła i nie mogła się przyzwyczaić do zawrotnego tempa rozwoju nauki i techniki. W latach dwudziestych naszego wieku, młodego człowieka nie uczono np. o silniku dwusuwowym, do którego nieznajomości zasad działania wstyd się po prostu dzisiaj przyznać. A przecież za kilka lat silniki takie będziemy oglądać jedynie w muzeum. Czy ludziom pod koniec lat trzydziestych śniło się o maszynach cyfrowych, które narodziły się zaraz potem jako lepsze kręciółki, a dzisiaj wyrosły w ogromne systemy komputerów, będące w kra-

Fot. K. DUDEK





jach wysoko uprzemysłowionych w powszechnym użytku?

Myśląc o tym wszystkim dochodzi się do wniosku, że musimy tak wykształcić naszego inżyniera aby był przygotowany na tego typu zmiany na każdym niemal kroku, żeby uważał je za chleb powszedni i szybko się do nich przyzwyczajał. Musimy sobie uświadomić, że wypuszczamy naszych wychowanków w mrok przyszłości na spotkanie i przygodę (brzmi to może romantycznie) z NIEZNANYM. Ponieważ na dobrą sprawę nie możemy przewidzieć, jak już się rzekło, jakie losy czekają naszych absolwentów, powinniśmy zerwać z tymi wszystkimi elementami kształcenia, które sukcesywnie, już od samego początku, niemal na każdym kroku pozbawiały studentów elastyczności myślenia a wpajały w nich mechaniczne odruchy — prowadząc do skostnienia wyobraźni i umysłowego lenistwa (skrypty, wszelkiego typu druczki laboratoryjne, które student wypełniał jak buchalter; a co to za inżynier co nie potrafi skonstruować sobie tabelki). W konsekwencji powinniśmy zerwać ze wszelkimi wąskimi specjalizacjami, które zresztą za lat kilkanaście, bez względu na to czy tego chcemy czy nie mogą stać się całkowitymi archaizmami. Młodego człowieka, który za lat pięć opuści naszą Uczelnię z dyplomem w kieszeni, tego młodego człowieka powinniśmy spróbować nauczyć przede wszystkim myśleć. Tyl-

ko wtedy możemy żywić nadzieję że sprostą on, a przynajmniej będzie usiłował sprostac, wszelkim problemom, na które się natknie, a przeciwko którym nie zdążyliśmy go uzbroić w żadną regułkę. Musimy go tak wykształcić aby był w stanie samodzielnie rozwiązywać zagadki, jakie zgotuje mu los. Mamy nie tylko uodpornić go na wszelkie nieznane jeszcze możliwości przyrody i przygotować by nie przerażało go to, co człowiek może z niej wycisnąć, lecz sprawić aby umiał sam twórczo pracować i przetwarzać bogactwo przyrody i jej prawa dla dobra całej nauki i techniki. Tylko w takim bowiem wypadku — moim zdaniem — rola naszych inżynierów i naukowców nie będzie ograniczała się do przetwarzania tego, co kiedyś zostało zrobione. Nasz absolwent musi mieć wpojone i musi rozumieć podstawowe zasady działania mechanizmów w przyrodzie tak, aby bazując na swoich umiejętnościach i wiadomościach, drogą myślowych manipulacji mógł zrozumieć NOWE, które stanie na jego drodze. I właśnie w pomocy studentowi w poznaniu otaczającego świata widzę między innymi rolę fizyki. Jest to nauka piękna i ogromna. Nie jesteśmy w stanie i nie ma zresztą takiej potrzeby, aby nauczyć studenta, przyszłego inżyniera — całej fizyki. Nie jestem też powołany, a zresztą nie czuję się na siłach aby podać receptę co należy w takim razie wykladać. Pozwólcie tylko, że

przytoczę zdanie jednego z wielkich fizyków. Jego książki i styl wykładów stały się prawdziwą rewelacją na całym świecie. Pisano o nim że „wciąga czytelnika w wielki dramat naszych czasów — odkrywanie coraz to głębszych prawdowości rządzących przyrodą”. A oto co on sam pisze w epilogu do swoich „Wykładów z fizyki”:

„...niech mi wolno będzie dodać, że główny cel moich wykładów nie polegał na przygotowaniu was do jakiegoś egzaminu, ani nawet do konkretnej pracy w przemyśle. Najbardziej zależało mi na tym, byście potrafili docenić piękno tego świata i dowiedzieli się, jak na niego patrzają fizycy, co w moim przekonaniu stanowi o prawdziwej kulturze naszych czasów. Przypuszczalnie znalazłoby się wielu profesorów innych dziedzin, którzy zaprotekowaliby w tym momencie, ja jednak jestem przekonany, że nie mają oni zupełnie racji.

Żywię nadzieję, że nie tylko doceniacie tę rolę fizyki i podejdziecie do niej z szacunkiem, ale nabierzecie ochoty do uczestniczenia w tej największej przygodzie, jaką kiedykolwiek przeżył umysł ludzki”.

Wątpię czy pośród nas znalazłoby się wielu takich, którzy by nie chcieli aby to zdanie stało się mottem ich działania.

PIOTR PLENKIEWICZ

## Mieszkaniowa Książeczka PKO — kluczem do własnego mieszkania

**K**to chce uzyskać mieszkanie, bądź poprawić swe warunki mieszkaniowe, lub zapewnić mieszkanie swym dzieciom, ten powinien wiedzieć, że: droga do uzyskania własnego mieszkania prowadzi przez spółdzielczość mieszkaniową, natomiast warunkiem zarejestrowania się w spółdzielni mieszkaniowej jest posiadanie mieszkaniowej książeczki oszczędnościowej PKO.

Wszystkim oszczędzającym na mieszkanie w sposób systematyczny za pośrednictwem swego zakładu pracy Państwo przychodzi z dużą pomocą finansową, w postaci tak zwanej premii za systematyczne oszczędzanie. Premia ta wynosi 50 zł. od każdej miesięcznej wpłaty, bez względu na jej wysokość.

Uzyskanie tej premii jest uwarunkowane następującymi wymogami:

- oszczędzanie winno się odbywać systematycznie w drodze bezgotówkowej za pośrednictwem wspólnego zakładu pracy,
- trwać nieprzerwanie przez okres minimum 4 lat,
- pracownik uspołecznionego zakładu pracy może w ten sposób oszczędzać na mieszkanie dla siebie względnie dla dzieci, pozostających na jego utrzymaniu.

Młodzi ludzie rozpoczynający pracę zawodową, winni kontynuować rozpoczęte przez rodziców oszczędzanie w swoim zakładzie pracy.

Pomyślano również o młodzieży akademickiej, która może oszczędzać sama na własne mieszkanie i uzyskać podobnie jak pracownicy uspołecznionych zakładów pracy premię za systematyczne oszczędzanie trwające nie mniej niż 4 lata.

Oszczędzanie takie winno się odbywać również w formie bezgotówkowej. Studenci muszą więc oszczędzać za pośrednictwem Studenckiej Spółdzielni

Pracy — we Wrocławiu przykładowo za pośrednictwem „Robota”. Na podstawie umowy zawartej o pracę Spółdzielnia dokonuje w drodze bezgotówkowej na rzecz deklarujących się na ten rodzaj oszczędzania studentów kolejnych miesięcznych wpłat na wystawione dla nich książeczki mieszkaniowe, potrącając im wartość potrąceń w rozliczeniu za pracę.

| miesięcznie                          | po 4 latach  | po 10 latach    |
|--------------------------------------|--------------|-----------------|
| wniesione wpłaty                     | 4.800        | 12.000,—        |
| premia za systematyczne oszczędzanie | 2.400        | 6.000,—         |
| 3% odsetek — około                   | 300          | 2.000,—         |
| <b>R a z e m:</b>                    | <b>7.500</b> | <b>20.000,—</b> |

Młodzież akademicką zainteresować powinien również fakt, że: nowozawierane małżeństwa korzystają ze specjalnego przywileju jakim jest podwójne obliczanie premii za systematyczne oszczędzanie. Gdy bowiem dwie osoby w stanie wolnym, które gromadziły poprzez zakłady pracy wkłady na dwóch odrębnych książeczkach mieszkaniowych zawrą związek małżeński i wkłady swe przeznaczą na wspólne mieszkanie spółdzielcze, to premia za systematyczne oszczędzanie przysługuje od wpłat wniesionych na obie książeczki.

Jeden ze współmałżonków otrzymuje ją wówczas za cały okres oszczędzania pod warunkiem, że okres ten nie był krótszy niż 4 lata, drugi współmałżonek za okres oszczędzania do momentu zawarcia związku małżeństwa.

Wyjątek od zasady wnoszenia wpłat w drodze bezgotówkowej przysługuje jedynie:

- wojskowym w czasie odbywania służby wojskowej. W tym okresie kolejne miesięczne wpłaty mogą być dokonywane w formie gotówkowej,

- matkom pracującym — w czasie bezpłatnych urlopów macierzyńskich,
- członkom związków twórczych z uwagi na to, że zarobki ich nie mają charakteru stałego,
- oraz rencistom.

Dla zobrazowania zamieszczamy poniżej tabelkę, która przedstawi ile będzie wynosił wkład mieszkaniowy gromadzony systematycznie np. po 100 zł.

Premia za systematyczne oszczędzanie oraz oprocentowanie wkładu nie wyczerpuje wszystkich korzyści związanych z posiadaniem mieszkaniowej książeczki oszczędnościowej, gdyż w wypadku zwyczajki kosztów budowy za okres oszczędzania nie niższy od 2 lat PKO wypłaci również tak zwaną premię gwarancyjną.

Premia gwarancyjna wyrównuje różnicę kosztu budowy jaka wynika z urzędowej ceny 1 m<sup>2</sup> powierzchni mieszkalnej ogłoszonej w Monitorze Polskim w roku otrzymania przez wkladcę przydziału na mieszkanie spółdzielcze, w stosunku do ceny obowiązującej w okresie gromadzenia przez niego wkładu w PKO.

Wysokość jej jest uzależniona od wysokości zgromadzonego na książeczce wkładu.

Powszechna Kasa Oszczędności podając powyższe do wiadomości podkreśla, że pomoc jaką udziela Państwo dla oszczędzających w PKO na własne wygodne mieszkanie jest konkretna i duża. Warto z niej skorzystać.

(—)

# Σ informuje

## Senat

Na posiedzeniu Senatu w dniu 24 września br. zasadniczymi problemami rozważań były:

- projekt uchwały Senatu w sprawie przyznania medalu „Za wybitne zasługi dla rozwoju Politechniki Wrocławskiej”;

- informacja o wyborach członków — korespondentów PAN;

- projekt planu pracy Senatu na rok akademicki 1973/74;

- aktualizacja składu osobowego rad wydziałowych.

Ponadto pożegnano profesorów przechodzących na emeryturę.

d.

## Nauczanie

Na studia dzienne we Wrocławiu i w Filiach ubiegało się w br. 3319 kandydatów (1675 miejsc). Przyjęto na studia 1679 osób w tym 464 kobiet. Bez egzaminów zostało przyjętych 113 prymusów szkół średnich i laureatów olimpiad szkolnych. Spośród tych ostatnich najwięcej zgłosiło się na wydział Elektroniki. (38), najmniej na Wydział Górniczy (1). Na Wydział Mechaniczno-Energetyczny nie zgłosił się ani jeden kandydat uprawniony do wstępu na Uczelnię bez egzaminu wstępnego. Najliczniejszy będzie pierwszy rok studiów na Wydziale Elektroniki (321).

✱

Filie przyjęły po około 50 studentów (od 51 do 57). Ogółem w filiach przyjęto na studia 218 osób.

✱

O przyjęcie na studia wieczorowe ubiegało się 1719 kandydatów (810 miejsc). Przyjęto ogółem 549 osób, z tego 140 w filiach.

✱

Wydziały Podstawowych Problemów Techniki oraz

Informatyki i Zarządzania wydały pierwsze dyplomy ukończenia studiów. Ogółem wydano 26 dyplomów absolwenta WPPT i 88 na Wydziale Informatyki i Zarządzania, z tego 50 absolwentom studiów wieczorowych.

## Sprawy osobowe

Z dniem 1 sierpnia br. profesorami zwyczajnymi zostali mianowani profesorowie nadzwyczajni: dr inż. Hilary GUMIENNY, dr habil. inż. Konstanty WOLKOWSKI.

✱

Równocześnie profesorami nadzwyczajnymi zostali mianowani docenci: dr habil. inż. Józef KUBICKI, dr habil. inż. Bogdan KARBON, dr habil. inż. Jan SĄKIEWICZ, dr habil. inż. Zdzisław TERESIAK i dr habil. Stanisław TRYBULA.

## Nagrody

Uchwałą Senatu z dnia 24 września za szczególne zasługi dla dobra i rozwoju Politechniki Wrocławskiej położone w czasie wieloletniej, owocnej działalności naukowej, dydaktyczno-wychowawczej i organizacyjnej, przyznano medal „Za wybitne zasługi dla rozwoju Politechniki Wrocławskiej”:

prof. Igorowi Kisielowi, prof. Adamowi Mitzłowi prof. Zbigniewowi Żyszkowskiemu.

✱

Miło nam poinformować, że Zarząd Główny Polskiego Związku Inżynierów i Techników Budownictwa decyzją jury nagród za prace naukowe w dziedzinie budownictwa, przyznał za rok 1973 nagrodę PZITB im. Wacława Żenczykowskiego, doc. dr habil. inż. Jędrzejowi KUCZYŃSKEMU za prace z dziedziny trwałości budowli, w szczególności ochrony żelbetonowych budowli inżynierskich.

d.

## Współpraca z zagranicą

Na zaproszenie Państwowego Uniwersytetu z Nowosybirsk przebywała w Nowosybirsku delegacja Politechniki Wrocławskiej w składzie: prof. T. Porebski, doc. B. Kędzia, doc. L. Krzyżanowski, prof. L. Szparkowski i doc. A. Dziendziel.

Wizyta miała na celu u-

zgodnienie warunków umowy o współpracę pomiędzy obydwojema uczelniami.

✱

Na krótkotrwale wyjazdy zagraniczne, na konferencje i inne imprezy o charakterze naukowym wydelegowano w lipcu i sierpniu z Politechniki Wrocławskiej ok. 30 osób.



Fot. R. MAKOWSKI

Politechnika Wrocławska, rozszerzając współpracę z uczelniami zagranicznymi, nawiązała kontakty z Wyższą Szkołą Budowlaną w Lipsku. 7 czerwca br. została podpisana wieloletnia umowa, która przewiduje wymianę doświadczeń z zakresu socjalistycznego wychowania studentów i podniesienia poziomu wykształcenia, wzajemną informację o działalności i rozwoju obu uczelni, współpracę naukowo-badawczą w następujących zagadnieniach: nieniszczące badania materiałów budowlanych, teoretyczne podstawy technologii budowlanej, podziemne systemy zasilania, zastosowanie ETO w budownictwie. Podpisy pod dokumentem złożyli: prof. dr Kurt FIEDLER (z lewej) i prof. dr hab. Tadeusz PORĘBSKI.

R. M.

## Konkurs

W dniu 6 lipca 1973 r. rozstrzygnięty został Konkurs SARP nr 525 na Dom Technika w Lubinie Legnickim. W Konkursie tym zwyciężył zespół Politechniki Wrocławskiej w składzie: architekci Józef Gierczak i Eugeniusz Jodłowiec z Instytutu Architektury i Urbanistyki. Z w/w zespołem autorskim współpracowali — architekt Tadeusz Lechicki — model; architekt Antoni Hołowiński — fotografie; pomagali studenci Wydziału Architektury Janusz Ślubiak i Ryszard Górski.

Zaprojektowany został obiekt wielofunkcyjny o kubaturze ca 60 000 m<sup>3</sup> zawierający następujące główne zespoły programowe:

- zespół szkoleniowy z salą kongresową na 800 miejsc, salami dydaktycznymi, biblioteką i czytelnia,
- zespół gastronomiczny z trzema barami, restauracją i kawiarnią,
- zespół rozrywkowy z grammi mechanicznymi, kręgielnia, sauną i pomieszczeniami odnowy,
- zespół administracyjny i stowarzyszeń,
- zespół hotelowy,
- zespół pomieszczeń klubu racjonalizacji z warsztatami szkoleniowymi,
- zespół małej poligrafii,
- zespół techniczno-gospodarczy i magazyny.

Sposób rozwiązania obiektu i powiązanie go z atrakcyjnym otoczeniem parkowym, stwarzając warunki do aranżowania ekspozycji na otwartym powietrzu, zyskały wysokie uznanie Jury, któremu przewodniczył prof. Andrzej Frydecki. Zwycięstwo w konkursie jest w konkretnym przypadku jednoznaczne z realizacją obiektu.

Podjęcie realizacji Domu Technika zaprojektowanego przez pracowników Politechniki Wrocławskiej będzie z pewnością korzystnym przykładem współdziałania naszej Uczelni z miedziowym potentatem — Kombinatem Górniczo-Hutniczym Miedzi w Lubinie.

d.



Na X Międzynarodowym Festiwalu Młodzieży i Studentów w Berlinie naszą Uczelnię reprezentowała Małgorzata Surowiec absolwentka Wydziału Górniczego.

✱

Złot uczestników Studenckich hufców pracy Politechniki odbywających praktyki robotnicze zorganizowała 20 sierpnia Uczelniana Komisja d.s. Praktyk

Robotniczych. Złot zakończył się imprezą rozrywkową na zamku Chojnik.

✱

Dom Studencki T-3 stał się międzynarodowym domem studenckim dla ok. 800 studentów zagranicznych przebywających na międzynarodowych hufcach pracy w okresie od 1 lipca do 15 września. Na okres trwania hufców pracy został tam otwarty „Interklub” dla studentów.

### „Wakacje za własne zarobione pieniądze”

Już po raz drugi Politechnika Wrocławska włączyła się do akcji „Wakacje za własne zarobione pieniądze”. W tym roku zgłosiło się aż 44 „junaków” — uczniów szkół średnich. Zatrudnieni zostali w dziale Administracyjno-Gospodarczym Politechniki. Brali udział w pracach porządkowych, pełnili dyżury w centralach telefonicznych i w portierniach.

Akcja przyniosła konkretne korzyści nie tylko młodzieży, ale i Uczelni. Wykonano wiele prac, które „leżały odłogiem” z powodu zbyt niskiej mocy przerobowej; wielu pracowników obsługi po raz pierwszy od kilku lat mogło skorzystać z urlopów w sezonie letnim.

Junacy wykonali dobrą robotę. W dowód uznania aż dziewięciu z nich otrzymało nagrody przyznane przez J. M. Rektora Politechniki Wrocławskiej.

Wyróżnieni to: Ryszard GOLCZYK, Leszek JURCZY-SZYN, Henryk KAZIÓW, Teresa PINDRAS, Danuta ANLAUF, Ewa BIEGASIEWICZ, Stanisław FIGIEL, Ryszard MIECZKO, Grażyna STASIACZEK.

Wielu planuje podjęcie pracy w Politechnice również w okresie przyszłych wakacji. Jest w tym niewątpliwie zasługa kierownictwa i pracowników działu Administracyjno-Gospodarczego Politechniki, którzy potrafili stworzyć młodzieży dobre warunki pracy, ciepłą i serdeczną atmosferę.

mm

### Akcja „Lato-73”

W ramach Międzynarodowych Hufców Pracy organizowanych przez RU SZSP wyjechało za granicę 12 grup studenckich (225 osób), które pracowały i zwiedzały państwa Europy.

✱

W ramach zdecentralizowanych zagranicznych praktyk naukowych wyjechało 20 grup studenckich (200 osób).

✱

W ramach centralnych praktyk IAESTE wyjechało 27 osób oraz w ramach centralnych praktyk AIESEC — 4 osoby.

✱

Rada Uczelniana SZSP przyjęła na Międzynarodowe Hufce Pracy 10 grup zagranicznych (165 osób) oraz na zdecentralizowane praktyki naukowe 20 grup (200 osób), na centralne praktyki IAESTE — 21 studentów. Dla grup studenckich przebywających we Wrocławiu został po raz pierwszy zorganizowany Międzynarodowy Dom Studencki w DS T-3, gdzie pracowała przez całą dobę

studencka recepcja. W Międzynarodowym Domu Studenckim działał również Interklub przeznaczony dla studentów zagranicznych i polskich.

✱

W miesiącach sierpniu i wrześniu czynny był klub T-4 przeznaczony tylko dla praktyk robotniczych, w którym odbywała się m.in. Liga Hufców.

✱

W terminie 10–16.IX.br. odbyła się w Karłowie Konferencja Aktywu SZSP, na której przedyskutowano programy pracy wszystkich komisji na przyszłą kadencję.

✱

Od 16-26.IX.br. w Szklarskiej Porębie odbył się obóz szkoleniowy RU SZSP, w którym wzięło udział 300 aktywistów organizacji.

✱

W dniach 27–30.IX odbyły się Dni Wstępne, w organizacji których wzięło udział 90 osób aktywu.

Na początku każdego roku akademickiego, zwykle w listopadzie ogłaszana jest Olimpiada Językowa. Na eliminacje dla studentów nie uczęszczających już na lektoraty zgłosiło się 56 osób. Następnie przeprowadzono eliminacje w grupach na lektoratach w Filiach Politechniki. Spośród 1500 prac aż 1200 oceniono pozytywnie, ale do finału dopuszczeni zostali tylko ci, którzy uzyskali ocenę co najmniej dobrą. Oczywiście wymagania stawiane były coraz większe ale jak powiedział mgr Sielicki z-ca dyr. Studium Języków Obcych d/s Dydaktyki poziom Olimpiady był bardzo wysoki. Laureaci trzech pierwszych miejsc otrzymali dyplomy i nagrody. Główną nagrodę w każdej grupie językowej była wycieczka zorganizowana do krajów zachodnich wraz z dofinansowaniem od 200 do 3000 zł. A oto laureaci:

#### Język angielski

1. Tomasz Truszkowski — II r. wydz. PPT — nagroda: wycieczka do Londynu i okolic.
2. Tomasz Muchleisen — II r. wydz. Elektroniki.
3. Aleksandra Pieniążek — I r. Wydz. Informatyki i Zarządzania.

#### Język niemiecki

1. Wojciech Wojna — II r. Wydziału Elektrycznego — nagroda: wycieczka do Wiednia.
2. Henryk Tokarski — III r. Wydziału Elektrycznego.
3. Romuald Josypenko — III r. Wydziału Informatyki i Zarządzania.

#### Język francuski

1. Anna Wasilewska — II r. Wydziału Elektroniki — nagroda: wycieczka do Holandii i Belgii.
2. Jan Betta — V r. Wydziału Elektroniki.
3. Piotr Golonko — II r. Wydziału Elektroniki.

#### Język rosyjski

1. Andrzej Miniewicz — I r. Wydziału PPT — nagroda: wycieczka Moskwa—Samarkanda.
2. Ewaryst Rafajłowicz — I r. Wydziału Elektroniki.
3. Andrzej Rokita — I r. Wydziału Elektroniki.

Ponadto zdobywcy 2 i 3 miejsc mają prawo do wyjazdu na obóz letni organizowany przez SZSP z pełnym dofinansowaniem. Statystycznie najwięcej „zawodników” stawiało w konkurencjach języków — angielskiego i rosyjskiego, natomiast wydziałami, które najlepiej wypadły w finale okazały się Elektroniki (bezkonkurencyjna) i Wydział Informatyki i Zarządzania.

W przyszłym roku znowu Olimpiada. Już od dzisiaj można z myślą o niej „podciągnąć” się z języka. A potem wycieczka jest już tylko... formalnością.

WLÓD.

### Komunikat Komisji Dyscyplinarnej

Przedstawiamy kolejną listę ukaranych prawomocnym orzeczeniem Komisji Dyscyplinarnej dla Studentów Politechniki Wrocławskiej.

- Zdzisław Kinasiewicz — stud. V r. Wydz. Mech.-Energetycznego — sfalszowanie podpisu w indeksie — kara zawieszenia na 1 rok (komisja Odwoławcza)
- Marek Piotrowski — stud. II r. Wydz. Mechanicznego (Studia dla Pracujących) — niewłaściwe zachowanie się wobec prowadzącego zajęcia — kara nagany,
- Wiesław Nuckowski — stud. IV r. Wydz. Elektroniki — naruszenie regulaminu DS — kara nagany,
- Roman Augustyniak — stud. V r. Wydz. Mech.-Energetycznego — sfalszowanie podpisu w indeksie — kara zawieszenia na 1 rok w prawach studenta,
- Stanisław Sitko — stud. II r. Wydz. Chemicznego — niewłaściwe zachowanie się na ulicy — kara nagany,
- Piotr Białas — stud. II r. Wydz. Mech.-Energetycznego — współdziałanie przy przedstawieniu fałszywej pracy z kolokwium poprawkowego — zawieszenie na 1 rok w prawach studenta, (Komisja Odwoławcza),
- Andrzej Suska — stud. II r. Wydz. Mech.-Energetycznego — współdziałanie przy przedstawieniu fałszywej pracy pisemnej z kolokwium poprawkowego — kara upomnienia udzielona przez J.M. Rektora (Komisja Odwoławcza).
- Dryk Mirosław — stud. V r. Wydz. Architektury — niewłaściwe zachowanie na rozprawie przeprowadzonej przez Sąd Koleżeński, — kara nagany
- Bohdan Koziański — V r. Wydz. Architektury — zakłócił ciszę nocną na terenie DS po godz. 24-tej, — upomnienie Rektora,
- Ewa Koziańska — stud. V r. Wydz. Architektury — zakłócenie ciszy nocnej — kara upomnienia JM Rektora.

## Przed festiwalem

W tym roku już po raz czwarty Wrocław zamieni się w jedną wielką scenę. Międzynarodowy Studencki Festiwal Teatrów Awangardowych, który odbędzie się w dniach 21 – 28 października, będzie kolejną okazją do przeżycia czegoś niepowtarzalnego, stworzy nowe płaszczyzny konfrontacji. Przewidziane jest wystąpienie 17 teatrów studenckich i zespołów półprofesjonalnych z zagranicy. Wśród nich należy wymienić TEATRO UNIAO E OLHO VIVO z Sao Paulo w Brazylii, MANHATTAN PROJECT COMPANY z Nowego Jorku, PADOVA (TEATRO POPOLARE DI RECERCA) z Padwy, TEATR UNIwersyteTU z SZEGED reprezentujący Węgry, LA CUDURA z Seville w Hiszpanii, TENJO SAJIKI z Japonii.

O randze wrocławskiego festiwalu może świadczyć fakt, że wybór biorących w nim udział zespołów został dokonany z pośród 100 teatrów oglądanych przez delegatów Biura Organizacyjnego i przeszło 40 zespołów zgłoszonych korespondencyjnie. Na liście rezerwowowych (w wypadku gdyby któryś z zakwalifikowanych zespołów nie mógł wziąć udziału w Festiwalu) znalazły się także teatry jak THEATRE CREATION z Lozanny, TEATRO A COMUNA z Lizbony i L'ACTE z Tuluz.

Tegoroczny Festiwal, jak donosi Biuletyn prasowy opracowany przez Biuro Prasowe Festiwalu „nie dokonuje już podziału na teatry studenckie i półprofesjonalne – najistotniejsze są wyrażone w przedstawieniach tendencje młodego ruchu teatralnego. A w szczególności zasady i idee teatru otwartego, a więc takiego, gdzie każdy członek zespołu czuje się w pełni odpowiedzialny za kształt i działanie teatru, działanie przede wszystkim skuteczne”.

MŁODY TEATR WOBEC SWEGO MIEJSCA I CZASU – to hasło przyswiecać będzie całemu Festiwalowi.

W czasie Festiwalu tradycyjnie już odbywać się będzie szereg imprez towarzyszących. Do ciekawszych należą: występ Teatru Laboratorium Jerzego Grotowskiego a następnie spotkanie z reżyserem i twórcami spektaklu, pokaz filmów dokumentalnych o działalności Living Theatre, Performance group i Open Theatre przygotowanych przez Marca Amitina z USA, występ zespołu brytyjskiego „Tangent” (śpiewana historia jazzu).

M.M.

## Pracowniczy Ogród Działkowy „Politechnika”

Nie trzeba chyba podkreślać, czym dla mieszkańców wielkomiejskich aglomeracji są rekreacyjne tereny zielone. Pracownicze ogrody działkowe są oazami, które w sposób szczególnie pożyteczny zaspakajają potrzeby czynnego wypoczynku mieszkańcom miasta.

Pracowniczy ogród działkowy „Politechnika” należy do mniejszych ośrodków tego typu; teren o obszarze 1,75 ha podzielono na 74 małe, bo zaledwie 200 m<sup>2</sup>, pieczolowicie zagospodarowane działki. Oficjalnym gospodarzem ogrodu jest Rada Zakładowa przy Politechnice Wrocławskiej, ale faktycznie zarząd sprawuje 5-osobowy samorząd, wybrany na Walnym Zebraniu POD na okres 4 lat. Samorząd posiada też własną komisję rewizyjną, komisję rozjemczą – a nawet komisję kobiecą!

Obecny przewodniczący, dr inż. Marian Łukaszewicz, na odbytym w dniu 15.IX.br. rozszerzonym zebraniu POD przedstawił osiągnięcia i potrzeby działkowców. I tak działkowcy przepracowali dotąd społecznie 50 tys. godzin przy pracach ogólnie użytecznych, ufundowali książeczkę mieszkaniową dla jednego z wychowanków Domu Dziecka i przekazali pewną kwotę na rzecz odbudowy Zamku Królewskiego; ponadto użytkownicy na swoich działkach posadzili ponad 600 drzewek i około 1800 krzewów owocowych, ustawili 48 altanek i uruchomili 20 studni.

POD „Politechnika” jest zrzeszony w Krajowym Związku POD, toteż zarząd, zgodnie z obowiązującym statutem tego związku musi prowadzić ściśle określoną działalność administracyjną. Dotyczy to zarówno spraw związanych z gospodarką finansową, obowiązującą sprawozdawczością i załatwianiem bieżących czynności biurowych. I tu prośba do Władz Uczelni. Zarząd POD dotąd nie posiada swojego stałego miejsca „urzędowania” – i niechodzą tu nawet o jakieś oddzielne pomieszczenie – może udałoby się jednak wygospodarować w którymś z pomieszczeń administracyjnych miejsce na biurko i szafę na dokumenty, gdzie w określonych dniach i godzinach członkowie zarządu mogliby przyjmować interesantów.

Należałoby również pomyśleć o nowym terenie pod ogród działkowy dla pracowników Politechniki – chętnych do dzierżawy na pewno nie zabraknie; ale należy się z tym pośpieszyć, gdyż inne przedsiębiorstwa wykazują w tym zakresie znacznie większą operatywność.

(d)

## DOC. DR HABIL. JULIUSZ SERKIES



Urodził się w roku 1935. Zmarł w roku 1973. Ten trzydziestoosmioletni okres Jego życia w większości wypełniony był intensywną pracą nad rozwojem własnych uzdolnień, nad zdobywaniem wiedzy a później pracą nad własną działalnością twórczą. Magisterium uzyskał w 1956 roku na UMCS w Lublinie, później – praca na lubelskiej AM i w przemyśle.

Od 1963 roku związany z Instytutem Chemii Nieorganicznej naszej Uczelni w ciągu 9 lat przeszedł

drogę rozwoju naukowego od starszego asystenta do doc. dr habilitowanego. Obiektem Jego penetracji naukowej było złożo podsudeckie i sudeckie, którego wszechstronną charakterystykę tak chemiczną jak i geologiczną dał w 35 opublikowanych pracach, prezentując szeroki wachlarz badanych metod eksperymentalnych, teoretycznych.

Wkładając całe serce i wszystkie umiejętności w proces dydaktyczny przeprowadził wiele ćwiczeń i wykładów, będąc zarazem autorem kilku skryptów.

Pracując tak intensywnie, pełniąc jednocześnie funkcję redaktora Wydawnictw Naukowych Instytutu znajdował czas na działalność społeczno-partijną, pełniąc funkcję II sekretarza OOP. Nie ma Go już wśród nas.

Odszedł od nas człowiek rzetelny, pracowity i prawy. Takim był właśnie w stosunku do wszystkiego co robił. Rzetelny w stosunku do swojego zawodu – pracownika nauki – stale powiększał swoją wiedzę, równocześnie nadzwyczaj sumiennie i pracowicie dając swój oryginalny wkład do wiedzy w dziedzinie, której się poświęcił. To owocowało w Jego stałym rozwoju i awansie naukowym.

Rzetelnym był też w stosunku do powołania i obowiązku człowieka nauki – do przekazywania wiedzy innym; czy to prowadząc wykłady na wysokim poziomie, czy opracowując skrypty z dziedziny, z której wykładał. Takim był też w stosunku do studentów, dla których miał zawsze czas i zrozumienie. Takim był także w pełnieniu funkcji zawodowych i społecznych w Instytucie.

Bolesną rzeczą jest pisanie o kimś, że był, że już Go między nami nie ma i nie będzie. Tym bardziej bolesne jest to w wypadku człowieka, który tyle sił i serca wkładał w nasze wspólne sprawy i nasze wspólne dobro. Ale właściwie dzięki temu, że takim był człowiekiem, ten ból i ta gorczyz są mniejsze. Bo chociaż Go między nami nie ma, to pozostał w sercach przyjaciół, z tym co zrobił dla ludzi i z tym co zrobił dla nauki.

(-)



Jak co roku w październiku proponuję przyrzeć się ogólnym danym, charakteryzującym przebieg egzaminów wstępnych na studia dzienne w Politechnice, które odbyły się w początkach lipca tego roku. Prezentowana tabela <sup>1)</sup> zawiera liczby kandydatów, któ-

rzy przystąpili do egzaminów i którzy je zdali. (Z wyjątkiem Wydziału Architektury. Dla tego Wydziału liczba kandydatów, którzy zdali egzamin wstępny znacznie przekraczała liczbę miejsc i część z nich „startowała” ponownie na innych wydziałach.)

| Wydział                                  | Przystąpiło do egzaminu | Z d a ł o |        |        |        |      | Przyjęto bez egzam. | Sprawność egzam. % |
|------------------------------------------|-------------------------|-----------|--------|--------|--------|------|---------------------|--------------------|
|                                          |                         | Ogółem    | Intel. | Robot. | Chłop. | Inne |                     |                    |
| Bud. Lądowego                            | 324                     | 163       | 126    | 26     | 3      | 8    | 6                   | 50                 |
| Chemii                                   | 181                     | 100       | 59     | 30     | 11     | —    | 9                   | 55                 |
| Inżyn. Sanit.                            | 538                     | 158       | 118    | 32     | 3      | 5    | 7                   | 44                 |
| Inform. i Zarządz.                       | 191                     | 118       | 75     | 36     | 5      | 2    | 9                   | 62                 |
| Górnictw                                 | 113                     | 38        | 24     | 12     | 3      | —    | 1                   | 34                 |
| Elektroniki                              | 462                     | 321       | 190    | 101    | 17     | 13   | 36                  | 70                 |
| Elektryczny                              | 300                     | 159       | 86     | 56     | 13     | 4    | 6                   | 53                 |
| Mechaniczny                              | 351                     | 152       | 86     | 51     | 11     | 4    | 7                   | 43                 |
| Mechan.-Energ.                           | 144                     | 72        | 44     | 24     | 1      | 3    | —                   | 50                 |
| PPT                                      | 114                     | 97        | 72     | 15     | 3      | 7    | 14                  | 85                 |
| Ogólnie średnia sprawność egz. wstępnego |                         |           |        |        |        |      |                     | 54                 |

Jak widać z zestawienia, poziom kandydatów mierzony sprawnością egzaminu okazał się jak zwykle najlepszy na Wydziale PPT, a następnie Elektroniki. Bardzo źle przygotowanie wykazali kandydaci na Wydział Górniczy, a następnie Mechaniczny i Inżynierii Sanitarnej (więcej niż połowa kandydatów nie zdała egzaminu).

Potwierdza się więc to, co od wielu lat z pełną odpowiedzialnością twierdzimy: szkolnictwo średnie nie potrafi przygotować kandydatów (w całej masie) do wyższych studiów technicznych. Jeżeli zaś dodatkowo weźmiemy pod uwagę fakt, że w końcu studia podejmują lepsi uczniowie, z których jak wykazują wyniki egzaminów, ledwie połowa zna materiał na poziomie obowiązującym w szkole średniej to wypada zawołać głośno — kiedy szkolnictwo średnie zacznie nauczać tego, co ma w programie?

Ze sytuacja jest więcej niż zła, można się dodatkowo przekonać, analizując wyniki młodzieży ze szkół tzw. tere-

nowych, starających się o przyjęcie do filii Politechniki Wrocławskiej. Odpowiednie liczby dla filii Świdnica <sup>2)</sup> wyglądają następująco:

Wydział Elektryczny — kandydatów 75, zdało 36 (48%)

Wydział Mechaniczny — kandydatów 53, zdało 13 (25%) ogółem zdało 38%. Jak widać, im dalej od dużego miasta, tym gorzej, co nie jest w końcu takie dziwne.

Kończąc, można krótko stwierdzić: poziom kandydatów jak zwykle niski. A przecież wizja Uniwersytetu Technicznego, wymagającego od młodzieży dobrego przygotowania ze szkoły średniej, jest coraz bliżej.

JMP

1) Materiały uzyskane z Pionu Toku Studiów dzięki uprzejmości p. Krystyny Kilarskiej.

2) Materiały uzyskane z filii w Świdnicy dzięki uprzejmości doc. dr Henryka Monki.

Fot. E. VOGT





## W CO SIĘ BAWIĆ

Problemy współczesnej kultury, zjawiska złożonego i niejednoznacznego, stanowią ważny element badań humanistyki. Johan Huizinga historyk i filozof kultury zajmujący się tym zagadnieniem w znanej pracy „Homo ludens” dokonał diagnozy myślenia i odczuwania człowieka XX wieku. Uważał, że postępująca dezintegracja osobowości wynika z gwałtownego rozwoju techniki oraz wychowawczej działalności totalitarnego państwa. Stworzył teorię kultury opartą na roli popędu do gry i zabawy. Jego koncepcja ludycznej natury człowieka znalazła wielu zwolenników.

Człowiek dorosły jak dziecko odczuwa potrzebę rozrywki, która odpręża go, uwalnia od napięcia spowodowanego konfliktami żywiołowymi. Człowiek dorosły chętnie sięga po książki, które bawia. Spełnia tę potrzebę *Opowieści o kronopkach i famach i inne historie* Julio Cortazara, wchodzącego w skład awangardy południowoamerykańskiej. Pisarza tego znamy z publikowanej w r. 1963 *Gry w klasy*, której złożona konstrukcja stanowiła dla czytelnika atrakcyjny problem do rozwikłania. Cortazar liczy się z ludyczną naturą człowieka. *Gra w klasy* jak sam tytuł wskazuje jest konsekwencją tego stanowiska. *Opowieści o kronopkach i famach i inne historie* kontynuują widzenia świata w kategoriach gry. Odbywa się to jednak nie na płaszczyźnie konstrukcji (*Gra w klasy*), ale w świecie fikcji literackiej. *Opowieści o kronopkach i famach...* są baśniami dla dorosłych.

Cortazar tworzy uniwersalny świat, który może przylegać do rzeczywistości na wszystkich punktach naszego globu. Świat ten następnie deformuje. Dzięki temu zabiegowi wyzwalają się pokłady humoru i dowcipu. Możliwości zabawy czytelnika są nieograniczone. Zajrzyjmy do spisu treści. Obejmuje on w części pierwszej instrukcje w rodzaju: „Jak płakać”, „Jak śpiewać”, „Jak się bać”, „Jak rozumieć trzy sławne obrazy”, „Jak należy tępić mrówki w Rzymie”... W części drugiej zatytułowanej „Niecodzienne zajęcia” znajdujemy podział na... „Zgubienie i odnalezienie włosów”, „Ciotka wytłumaczona lub nie”, „Usadzanie tygrysa”... itd. A więc mamy tu do czynienia z olbrzymią rozpiętością różnorodnych zagadnień.

Wiele miejsca zajmują Cortazarowi rozważania nad naturą ludzką. Dokonuje upraszczającej egzemplifikacji postaw wobec świata, które prezentują famy, kronopki i nadzieje. Famy są mieszczańskimi zamożnymi i wygodnymi, konserwatywnymi i lojalnymi, cenią autorytety i systemy biurokratyczne. Dzięki famom utrzymuje się stagnacja myśli i form żywiołowych czyli tzw. ład społeczny.

Nadzieje uosabiają wszystkie negatywne dorobkiewiczów i karierowiczów, są chciwe i oszczędne, podstępne i przebiegłe, traktują środowisko mie-

szczan jako elitę, a sforsowanie barier otaczających „wielki świat” stanowi dla nich cel życia.

Największą sympatią otacza pisarz kronopki. Kronopki są artystami życia. Tragizm, komizm i groteskę akceptują z jednakową radością. Nie ufają oficjalnym ideologiom, kpią z konwensów i obyczajów, które zmuszają do fałszu. Egzystencja dla kronopki jest niustanną improwizacją.

Cortazar unika łatwej dydaktyki. Tworzy ludzi (kronopki), którzy nie poddają się ogłupiającej działalności wychowawczej współczesnych systemów dydaktycznych. Ludzie ci są wartościowymi jednostkami, gdyż umiejętność samodzielnego, krytycznego widzenia świata stwarza warunki do zmian.

Choć Cortazar uznaje za jednego ze swoich mistrzów J. L. Borgesa, jednak literatura, którą nam proponuje jest zupełnie inna; zaskakuje nas przejrzystością intencji twórczych i jasnością stylu.

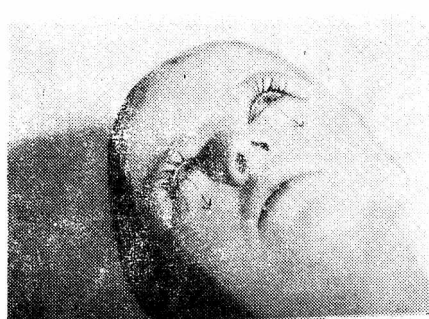
## MIEDZIORYT ZE SŁONIEM

Johannes Urzidil wywodzi się z kręgu pisarzy praskich („Pragers Kreis”), który skupiał najwybitniejszych literatów austriackich. W 1939 r. wyemigrował do Francji a następnie do Stanów Zjednoczonych gdzie mieszka do dziś. Jego twórczość może posłużyć jako objaw załamania artystycznego wielu pisarzy emigracyjnych. Nieliczni twórcy o uniwersalistycznej koncepcji świata działający poza ojczyznę są w stanie uniknąć klęski artystycznej. Jako przykład współczesny i bliski może posłużyć Sławomir Mrożek, którego dramaty cieszą się niesłabnącym powodzeniem. Natomiast Marek Hłasko jako pisarz i człowiek poniósł absolutną klęskę, gdyż należał do tych, którzy sprawdzają się tylko „na własnych śmieciach”.

Zbiór opowiadań *Miedzioryt ze słoniem*<sup>2)</sup> Urzidila ilustruje doskonale powyższą tezę, gdyż zebrane w nim teksty pochodzą z okresu praskiego i amerykańskiego. Dokonanie analizy porównawczej nie sprawi kłopotu czytelnikowi. Opowiadania praskie są nie tylko atrakcyjne pod względem fabularnym ale i językowym (ukłon w stronę tłumacza). Subtelny rysunek psychiczny poszczególnych bohaterów w połączeniu z tendencjami ekspresjonistycznymi i irracjonalnymi oraz konsekwentną konstrukcją składa się na wysokiej klasy teksty literackie.

Natomiast opowiadania amerykańskie są wyraźnie gorsze. Pisarz skupia się wyłącznie na pseudorealistycznych obrazach. Tworzy fabuły, których celem jest ujawnienie niedoręczności w ciągach przyczynowo-skutkowych. Niedoręczności te mają obrazować kondycję człowieka oderwanego od naturalnego środowiska. Zamierzenie ideowe ciekawe i aktualne, ale realizacja artystyczna jest nie najlepsza. Teksty są przegadane, czasami wręcz nudne.

Ale wróćmy do zalet. Na szczególną uwagę zasługuje opowiadanie tytułowe „Miedzioryt ze słoniem”. Jest to pięknie opowiedziana historia życia i twórczości renesansowego artysty. W opowiadaniu tym istotną rolę odgrywa narrator. Spełnia on dwie funkcje: narracyjną i komentatorską. Pozornie nie w tym interesującego, ale rzecz polega na tym, że narrator jawnie kieruje uwagę czytelnika na siebie.



Fot. E. VOGT

Intelektualna praca narratora nad tekstem staje się celem samym w sobie. Tłem rozważań jest określony fakt historyczny. Jest on punktem wyjścia dla całej opowieści. Narrator zdaje sobie sprawę z tego, iż jego interpretacja faktu historycznego może być tylko jedną z wersji. Ale pragnie ją wybronić dzięki odpowiedniemu zestawowi dowodów.

„Miedzioryt ze słoniem” opowiada o życiu wewnętrznym artysty i jego stosunku do uprawianej sztuki. Nasuwa się tu porównanie z książką Hermanna Hesse *Narcyz i Złotousty*, bowiem w niej dramat artysty jest również w centrum uwagi pisarza.

Niezapomniany koloryt obu utworom nadaje umieszczenie akcji w czasach renesansu.

KRYSTYNA HENZEL.

1) Julio Cortazar: *Opowieści o kronopkach i famach i inne historie*. Przełożyła: Zofia Chądzyńska, Czytelnik, Warszawa 1973, s. 139  
2) Johannes Urzidil: *Miedzioryt ze słoniem*. Przełożyła: Maria Gero, PIW, Warszawa 1972, s. 407



# POD NARKOZĄ we WROCŁAWIU



(fragmenty operety narodowej)

Jerzy Pluta

**T**am, tam w prawo, byle szybciej, bo mnie dogonia i pod mur: przecież chyba(?) uświadamiałem sobie, że to sen, że przecież nie jestem uciekającym przed Arabami: żołnierzem (kapralem?) Legii Cudzoziemskiej (czy ona jeszcze istnieje?), że nikogo nie zastrzeliłem, nikogo nie torturowałem widelcem: potem schodami w dół, znowu bieg ciemnym korytarzem, śmierzącym szczurzą(?) padliną, a oni: już na schodach, zaraz skrećą w prawo, biegnę coraz szybciej, a zarazem wiem, że chyba stoję w miejscu, że zaraz się przewrócę, oni krzykną: poddaj się! zdążyłem odkrzyknąć (po francusku?): mylicie się; to nie jestem Ja, potem usłyszałem z tyłu: cha! cha! cha! to nie on! dobre, co? Uskoczyłem w lewo, pobiegli dalej, potem jeszcze w lewo — wyszedłem ze śmierzącego kocimi gówienkami korytarza do parku; więc jestem w Algierii? palmy i drzewka pomarańczowe, duszno, duszno, a ja w białym ubranku jakbym miał za chwilę pójść do Pierwszej Komunii (a przecież miałem wówczas czarne, tylko Bolek, syn kierownika szkoły — białe, a może popielate), więc jestem w Algierii; tylko co to za miasto? co to za park?; i wtedy upadłem na trawnik, bo usłyszałem ich głosy: to on! to on! to ten esesman! strzelaj!

— Ziutek, Ziutek, co ci się śniło? Cały mokry jesteś — Więc leżę w łóżku? Gonili mnie, gonili, usłyszałem komendę „strzelaj” — i obudziłem się.

— Jacy oni? — Nie wiem, ci ze snu. Brali mnie chyba za kogo innego, tak przypuszczam, uciekałem, uciekałem, cały czas się pościłem, bo to było w Afryce, konkretnie w Tunezji, nie, w Algierii.

— Jak to we śnie.

— Która?  
— Po szóstej.  
— Już wstałaś?  
— Dam ci termometr. Chyba już nie gorączkujesz. Pokaż język.

Zamknęła drzwi do przedpokoju, potem usłyszałem trzaśnięcie drzwiami wyjściowymi: za gwałtownie! trzeba jednak zamykać kluczem, albo nasmarować smalcem języczek zamka. Więc mogę przeciągać się w łóżku myśląc: „Leż, leż sobie, lekarz wyraźnie podkreślił wyrazy: chory powinien leżeć w łóżku”. Za godzinę wezmę tabletkę, za bardzo coś się pocę — więc leżę na plecach; i patrzę na sufit: białe niebo? Odwróciłem się na lewy bok: w mieszkaniu za ścianą ktoś otworzył drzwi szafy, na pewno szafy, bo usłyszałem, że zaraz po skrzypnięciu spadło coś na podłogę, chyba wieszak; co mi się wówczas przypomniało? chyba wieszaki z niemieckimi napisami w naszej szafie? I może tą chwilę sprzed dwudziestu paru lat gdy wszedłem do sklepu odzieżowego w Rynku (mama była w sklepie obok) i zapytałem: „Jest ciemny ancug?” „Co chcesz?” „Ancug”. „Po jakimu ty mówisz?” Nie ma, przyjdź z mamą”. Ancug? ancug! Babsko wstrętne. Tak wtedy pomyślałem? Dzwonek. Dzwonek powtórny: więc chyba się zdrzemnąłem: ktoś to? Mężczyzna z raportówką.

— Za światło i gaz. Zawsze dzwonię i nikt nie otwiera a dziś...

— Dzwonił pan, to otworzyłem. Niech pan wejdzie, bo ciągnie, a ja...

— A wejść, wejść, czemu nie, sprawdzę licznik.

— Oczywiście, oczywiście.

— Psiakrew, ileż pan gazu spala. Pisałem bez sprawdzeń — za mało, za mało. Zabuli pan.

— Trudno, niech pan liczy.

— Prawie pięćset metrów sześciennych nie policzyłem, pięćset razy dziewięćdziesiąt.

— A to Gatka się zdziwi!

— Co za Gatka?

— Zona. Agata.

— Toś pan taki: Gatka. Gatka w gatkach, he! he!

— W jakich gatkach?

— Aleś pan niedomyślny. Liczę, liczę. Pocim się, synku, kładź się do łóżka. Chyba nic poważnego, co?

— Przeziębienie.

— Proszę rachunek: za światło — sto dwadzieścia, za gaz — czterysta pięćdziesiąt, plus chodzenie, razem... Placi pan?

— Niech pan zostawi rachunek, bo nie wiem, gdzie zona trzyma pieniądze.

— No, no, po pierwszym a już pusto? A na przeziębienie najlepiej łyknij kieliszek spirytusu, albo żytniówki. Spójrz: zawsze noszę z sobą! Łykniesz?

— Zążywam tabletki to...

— Pij, to ci pomoże.

— Dziękuję, jak pan tak zachęca, to...

— Życie znam, o! co. Rachunek na stole. Jak przyjdzie Gatka, to niech chodzi w gatkach. Dobre, co?

— Ostre.

Zamknąłem drzwi do przedpokoju, potem usłyszałem tego trzaśnięcie drzwiami: jakbym zamykał książkę. Zasną? Odbija, to po tej wódce. Zmyslny: raportówka, księga i butelka. I do mnie: „Pocisz się, synku?” Morowy inkasent. Chyba zasypiałem: las mieszany, nie las: puszcza Białowieska, bo zobaczyłem żubry. W którym tam byłbym roku? Trzy żubry: żarły trawę, jakby mnie widziały. Ona (schowana za grubym grabem) krzyknęła: złap go za rogi! prędko! Zobaczyłem jej kasztanowe włosy na tle siwej kory: skąd tu ona? To ty? A ja! Patrz, odchodzą: złap go za rogi, udowodnisz, że... Że co? Pośpiesz się, bo się spłoszą. Zbliżyłem się do największego, z najbardziej rudawymi włosami na głowie; dzyn, dzzyn. Kobieta z dwoma koszykami.

— Dzień dobry. Może świeże jajka?

— Nie. A po ile?

— Trzy złote. Może świeża śmietanę?

— Nie.

— Oj, dziecko, takiś blady, jajka surowe pij. Moja nieboszczka matka zawsze mi...

— Do widzenia.

Może i Cyganki przyjdą? Przecież powinienem leżeć w łóżku: „To przeziębienie, ale niech pan uważa, bo najgorsze powikłania. Pali pan? Więcej jak dziesięć nie wolno”. Chyba po ósmej: co robi Karol? chyba już skatalogował jeden wolumen. Gdybym miał telefon, mógłbym do niego zadzwonić: „Cześć, Karol. Co słychać?” „Nic. Pracuję. Jak się czujesz?” „Nie najgorzej. Odpoczywam. Syrop sosnowy pijam”. A Gatka? Już zaczęła lekcje: „Dziś będziemy przerabiał o morzu Bałtyckim. Kto z was był na wakacjach nad morzem? Widzę, że wszyscy, a ty, Halinko, dlaczego

nie podniosłaś palców do góry?" „Bo ja nigdy nie byłam nad morzem". Co to: już koniec lekcji? tak szybko?

— Chwileczkę, już otwieram.  
— Szybciej, paczka do pana.  
— Tak wcześnie?  
— Ciężka. Pracuje się, pracuje, a pan śpi.  
— Brak nazwiska i adresu nadawcy!  
— To nie moja rzecz. Tu pan podpisuj. Pięć złotych dla mnie.

— A jak tam bomba?  
— Zegarowa... No jasne, lepiej nie otwierać, wrzuc pan od razu do wyspu.  
— Do widzenia panu.

Chyba waży pięć kilo. Jest datownik: „Cedynia". Dlaczego poczta przyjęła paczkę bez nazwiska i adresu nadawcy? Przetnę sznurek, mechanizm zegarowy uruchomi się, nie zdąży odskoczyć i. Wróci Gatka a tapczan pusty, ja nieżywy na podłodze (przywalony książkami?). Nożyczkami ostrożnie obciąłem kawałeczek papieru, potem przedziurawiłem karton: nic podejrzanego: a może lepiej nie otwierać? Położyłem się, ale zaraz wstałem: trzeba otworzyć! Wepchnąłem nożyczki do kartonowej dziury, weszły: jak w chleb? Wysypało się trochę szarego piasku. Co to za dowcipasy? Przeciąłem sznurek, zerwałem papier i zobaczyłem pudełko po margarynie, na wierzchu granatowy napis: JEDZCIE MARGARYNĘ LEPSZA OD MASŁA LEPSZA OD; odwróciłem na bok, ale nie dostrzegłem następnego wyrazu: lepsza od MASŁA, to już wiem z codziennych ogłoszeń w „Słowie Polskim", ale od czego jeszcze lepsza od mleka? od smalcu? W środku od razu dostrzegłem białą kopertę z zielonym nadrukiem: Honorowy Komitet Obchodów 1000-lecia Bitwy pod Cedynią w Cedyni. Pod kartonikiem, na którym leżał list zobaczyłem plastikowy woreczek z szarym piaskiem. Wyjąłem z niezaklejonej koperty brązowy arkusz (toż to papier czerpany!):

Drogi Obywatelu!

Honorowy Komitet Obchodów 1000-lecia Bitwy pod Cedynią w Cedyni ma zaszczyt przesłać Obywatelowi woreczek z ziemią z miejsca, na którym 24 czerwca 972 roku wojowie Mieszka I i jego brata Czcibora stoczyli zwycięską bitwę z żołdakami margrabiego Hodona. Data ta należy do najchlubniejszych w ponad 1000-letniej historii polskiego oręża: pamięć o bitwie pod Cedynią na zawsze pozostanie w sercach wszystkich miłujących pokój obywateli naszej Ludowej Ojczyzny. Mamy nadzieję, że Obywatel weźmie udział w uroczystościach jubileuszowych, które odbędą się na wiosnę przyszłego roku. Przesyłki z ziemią z miejsca przelastwionej bitwy otrzymują jedynie nieliczni Obywatele, wyróżniający się w pracy zawodowej i społecznej, których nazwiska zarekomendowały nam Wojewódzkie Komitety Frontu Jedności Narodu w porozumieniu z Zakładem Pracy, w którym jest Obywatel zatrudniony. Jednocześnie podajemy numer konta PKO, na który można wpłacić datki na...

Więc to tak? Oni do mnie napisali list, więc i ja napiszę: Szanowni Członkowie Honorowego Komitetu!

Dziękując za przesyłkę, chciałbym się Wam odwzajemnić przesyłając serdeczne: a pocałujcie się w używany papier toaletowy z tą bitwą pod Cedynią, bo...

Nie skończyłem, bo usłyszałem dzwonek. Na wycieraczce stał mężczyzna w brązowej marynarce (zapamiętałem jego czarne duże brwi), w prawej ręce trzymał czarną aktówkę. Urzędnik? Cóż on może chce ode mnie? Zapytał tak cicho, że ledwo dosłyszałem:

— Bardzo pana przepraszam, czy tu mieszka stolarz Lanz?  
— Nie, piętro wyżej. Albo niżej.  
— Jeszcze raz bardzo przepraszam. Do widzenia.

Odchodząc uklonił mi się jakby był Japończykiem. Zamknąłem drzwi, lecz zostałem w przedpokoju, bo nie słyszałem jego oddalających się kroków. Przez wizjer zobaczyłem, że stoi przed drzwiami obok windy: zadzwonił, w drzwiach stanęła kobieta, a on zapewne zapytał: „Bardzo panią przepraszam, czy tu mieszka stolarz Lanz?" „Nie, piętro niżej, ale nazywa się chyba Larc, a nie Lanz". Jeśli nie wiem jak się nazywają sąsiedzi, to skąd mogę wiedzieć, że w tej klatce mieszka niejaki Lanz, stolarz?

„...bo czyż nie zdajecie sobie sprawy, że..."

Nie wiedziałem, co dalej napisać. Zadzwonił do mnie, powiedział mi, oczywiście wprowadzając go w błąd. I zadzwonił pod dziewiętnastkę. Nie wierzył mi? List; ziemia. Może lepiej w ogóle nie odpisywać? Pudełko wrzucę do wyspu — i spokój z Cedynią. Nie, poczekam aż wróci Gatka, niech i ona się trochę pośmieje: cha! i ha! (przez samo „h"). Lubię na nią patrzeć, gdy się śmieje dzwicznym ha! ha! Żebym ja tak umiał, bo tylko: cha! cha!

# WERSZE WERSZE WERSZE

## Edward Korobłowski

### Obraz XXII

Nie doprowadzając do drugiego brzegu łagodnie opadającego  
w świt  
otworzyły się za przeciwległym drzewem rzędy krzewów,  
wprowadzając głos ściszony brakiem powietrza w bliskiej  
odległości  
kranca rzeki (przecina horyzont znacząc odbicie w nieskon-  
czoność).  
Jedno z niewielu tak rozprzestrzenionych gdy o wczesnym  
świcie  
nie słychać śladu stopy zagłębiającego się coraz bardziej  
w odeszłego człowieka. Po jego kraniec przechodzi wzgórze  
winnicy,  
słonecznie doskonałe, wytopione w słońcu, pełne chłodu  
i cienia tych dwóch postaci odprowadzających je w ułożenie  
ciała,  
tak wszechstronne jak tylko można odetchnąć wysoko od-  
poczywającym  
gwiazdozbiorem. To przekraczając granicę rzeki,  
przekraczasz jednocześnie leżącą na brzegu skórę Afryki  
i wszystkie widoki z szumem uciekających zwierząt.  
(tak ciska rozkłada się przeciwieństwem czerni).  
Jest, słyszę jak formuje się ślad, tworząc kontur w moim  
ciele.  
Jestem odcisniętą stopą nieba, lub jedną z myśli, nieobjętej,  
świadomej  
rzutem wysokiego spojrzenia.  
Ślad za śladem nadejdzie, upominając się o pamięć, sięgając  
po żywy płomień —  
— oto jest powolny brzeg ciała dążącego do przerastającej  
ciebie  
jednoznaczności.

### Cisza Dominująca

Zaczyna się znieruchomiale — stąd tak blisko do krajob-  
razów  
szumiących wielkim liściem na tle ciepłego wiatru w nie-  
bieskiej ciszy  
w srebrzystych stopniach wody. Ten świat znieruchomiały  
z przesuwającą  
się szybko czarną sylwetką człowieka, odtwarza sam siebie  
w młodszą przeszłość — tam w odległości brak istnienia,  
więc pełnia życia jest krokiem w powoli zapadający cień  
Ziemi,  
szybkim marszem — nagle pojawienie się gwiazdy na niskim  
pulpie nieba.  
Dominującą jest cisza, która spala czas i zmierzch,  
cisza, która spala i ciebie w nieustannie większej ciemności.

### Porządek Rzeczy

W odwiecznym porządku rzeczy jest i taki który zakłada  
istnienie  
twoje lub moje podzielone między przeznaczenie i niedo-  
wierzenie —  
— między nimi rozciąga się przewidywana tajemnica  
jej znaki możliwie najprostsze, możliwie codzienne.  
Ten stan czasowy w pejzażu — okres złej pogody  
zawieszony brudnym płótnem powietrza między drzewami  
zwraca do siebie idącą postać.  
Pejzaż ogłuszony szeregiem spostrzeżeń, pocięty na strefy  
zmniejsza się jak odchodzący szybko człowiek,  
gdy każdy z nas dodając sobie ciężaru określeń — pozostaje,  
odchodzi jako krajobraz wyryty w przejrzystej olowianej  
pływie.  
Jego spotkanie było przeznaczeniem, odejście pełne jest nie-  
dowierzania.  
Między odejściem a spotkaniem pozostaje puste miejsce,  
którego pełni nikt nie przewidział  
jemu nadajemy w każdej chwili powtarzającą się wielkość.



# Fraszki

## Na zieloną trawkę

*W głowie miała zielono,  
więc ją wykoszono.*

## Studentka

*Niczym pogoda  
kaprysy miewa.  
Czasem zabłyśnie,  
czasem oblewa.*

## Woda

*Mętna była i płytka.  
Wylano ją z korytka.*

\*\*\*

*Włosów wypadł mu ostatek,  
ale myśli ma kudłate.*

## Pseudoastronom

*Wyżłopał cztery fulle  
i twierdzi, że mózgowe  
kręcą się półkule.*

## Ziemia obiecana

*Kraj nasz miodem popłynie  
— wierzę w to absolutnie —  
jeżeli do minimum  
zmniejszy się ilość trutni.*

## Skarga kelnera

*Ludzie są niedobrzy.  
Osobno, czy też w kupie  
nawet siwego włosa  
nie uszanują... w zupie.*

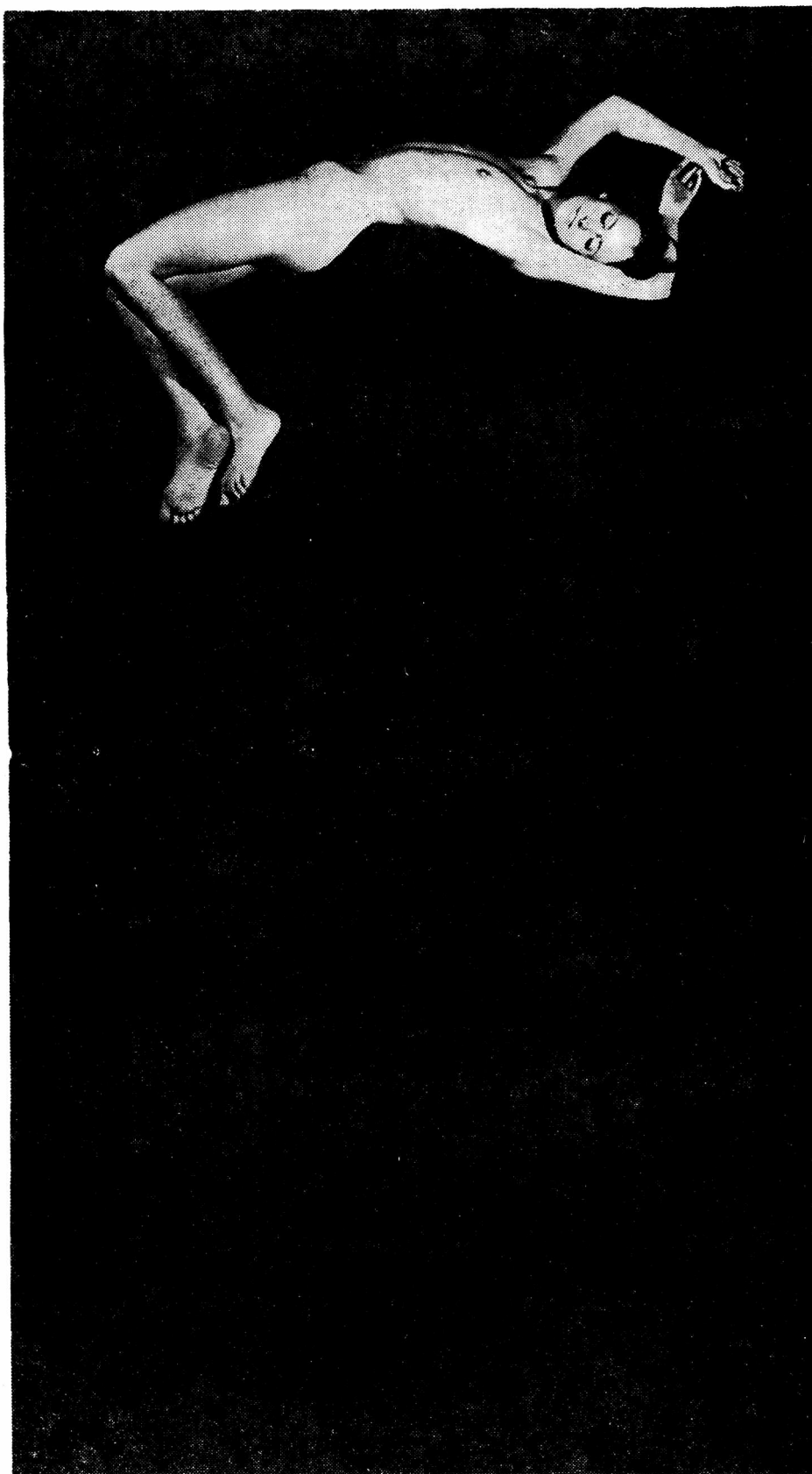
## Grzyb

*Świeże nakrycie głowy.  
Ale czy korzeń zdrowy?*

## Epitafium męża

*Stracony.  
Ręczył głową za żonę.*

KAROLINA KUSEK

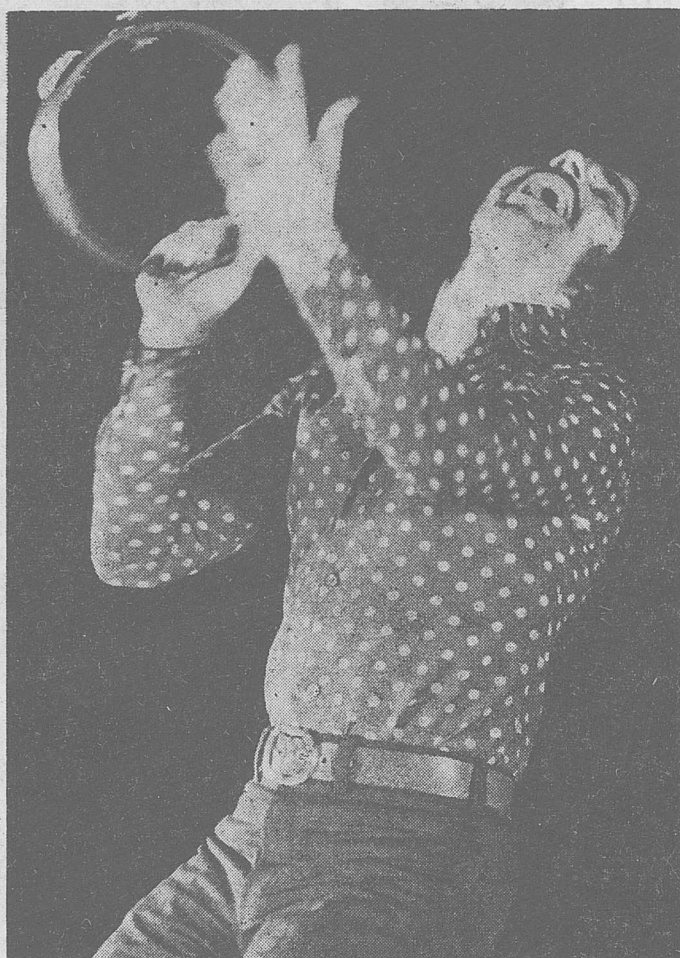


Fot. J. SAMOTUS

Wydaje Politechnika Wrocławska. Adres Redakcji: Wrocław, ul. S. Janiszewskiego 14 pok. 14/15, tel. 270-51 w. 240 (pocztą wewnętrzną: P-9/S). Redaguje zespół w składzie: ADAM BUCHELT (z-ca redaktora naczelnego), WANDA DRYLL (sekretarz redakcji), ERNEST DYCZEK (redaktor techniczny), JERZY GIRULSKI (redaktor naczelnny), SŁAWOMIR HULANICKI, WOJCIECH KOZAK, JERZY MACKOWIAK, MAŁGORZATA MICHAŁAK, JANUSZ M. PAWLIKOWSKI (z-ca redaktora naczelnego), ZBIGNIEW SZTUBA, STANISŁAWA SZULC, JERZY WŁODARCZYK, MARIA WOJCICKA.

Opracowanie graficzne: STANISŁAW RYSZARD KORTYKA  
przy współpracy ANDRZEJA KLIMCZAK-DOBRZANIECKIEGO





Fot. J. BORTKIEWICZ

